Nr. 83. 314.

Lwów — Sroda dnia 12 Kwietnia.

Rok 1893.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu

Cena prenumeraty we Lwowie:
Bez dostawy miesięcznie 75 ct.
Z dostawą do domu „ 1 złr.

Prenumeratę miejscową przyjmują:
Biuro dziennikow ul. Karola Ludwika l. 6.
Trafika przy ul. Karola Ludwika l. 5.
„ J. Weźnega przy ul. Czarnieckiego l. 3.
„ przy ul. Słowackiego (obok tea. Diany.
„ Niemojowskiego ul. Jagiellońska l. 8.
„ Nikolowskiego Hotel Żorża.
Prenumeratę z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników ul. Karola Ludwika l. 6.

Numer kosztuje 4 ct.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi.
Miesięcznie złr. 1.10) Półrocznie złr. 6
Kwartalnie „ 3.—) Rocznie „ 12
Na zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Prenumeratę należy przesyłać przekazami. Do przesyłanej w kopertach pieniężnych należy dodawać 4 ct.

CENA OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . 2 „
ses tłustym garmondem po . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Opłacenie, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . 25 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika Nr. 9.

Dziś:	św. Juliusza Pap	1 Ipatya Jep.	Adres Redakcyi i Administracyi **Ulica Sykstuska l. 45.**	Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**	Wschód słońca g. 5 m. 27	Długość dnia g. 13 m. 11
Jutro:	św. Justyna M.	Apr. Maryi			Zachód „ 6 38	Przybyło dnia od wczoraj 3 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 11 kwietnia.

Rząd federalny szwajcarski składa się z siedmiu członków, noszących tytuł ministrów. Z nich w teraźniejszej kadencyi jest sześciu radykałów, a tylko jeden konserwatysta. Owóż niedawno rząd ten, jako bardzo dbały o kieszeń swych obywateli, wystosował do narodu wielką odezwę, w której mniej więcej to czytamy: „My, ministrowie, oświadczamy publicznie, że rząd związkowy nie ma nic wspólnego z loteryą, jaką urządził kanton fryburski i że za skutki odpowiadać nie myślimy...“ itd.

Dla wyjaśnienia rzeczy dodać należy, że kanton fryburski, jak i każdy inny w Szwajcaryi, posiada swoją autonomię, tak rozległą, że stanowi zupełnie oddzielne państwo; nadto że finansami fryburskiemi kieruje dygnitarz specyalny, odpowiedzialny przed ludnością fryburską i działający na podstawie jej plenipotencyi, i wreszcie że do tych finansów nikt inny nie ma prawa mięszania się, chyba że jest wierzycielem. Wobec tego całej Szwajcaryi wydała się dziwną ta odezwa zrzucająca odpowiedzialność, której nikt nie wymagał i o którą nikt nie prosił.

Rzecz się wyjaśnia dopiero, gdy wskażemy cel tej nowej loteryi. Jest nim zasilenie funduszami nowego katolickiego uniwersytetu, jaki ufundowano we Fryburgu przed trzema laty.

O szkodliwości loteryi niejedno już powiedziano i niejedno zupełnie słusznie. Jednak to złe ma jednę praktyczną stronę: jest ono mianowicie wybornym środkiem do zebrania sporej sumy pieniędzy. To też loterya, potępiona w zasadzie, znajduje swoje usprawiedliwienie w tych razach, kiedy chodzi o cel ogólny i szlachetny. Wszystkie loterye dobroczynne służyć mogą typowym przykładem w tym razie.

W niektórych krajach loterya stała się nawet zwyczajnym środkiem wznoszenia budowli publicznych. W Monachium naprzykład istnieją dwie loterye w chwili obecnej: jedna postawić ma kościół nowy, druga teatr ludowy.

Zresztą, nawet nie szukając przykładów za granicami Szwajcaryi, można ocenić całą wartość tego nagłego wystąpienia rządu szwajcarskiego, nie wychodząc po za granicę Szwajcaryi. Toć parę lat ledwie upłynęło, gdy postawiono wspaniałą dzwonnicę i odnowiono katedrę w Bernie za pieniądze zebrane drogą loteryi. Dlaczego wtedy rząd szwajcarski nie wydał manifestu do narodu? dlaczego wtedy nie otwarły się upusty gniewu prasy? dlaczego wtedy milczeli ci wszyscy moralizatorowie publiczni?

Odpowiedź łatwa. Wtedy nie szło o świątynię katolicką, bo berneńska katedra jest protestancką i stanowi upiększenie miasta, bardzo szanowanego przez radykałów, jako gniazdo krańcowych pojęć. Nie trzeba się łudzić: słuszność i prawda, szlachetne oburzenie i tyrady moralizujące, cnoty najświętsze i uczucia najszlachetniejsze — wszystko to stało się tylko orężem, którym się walczy, rani przeciwnika i toruje drogę do „rządowego żłobu.“ Radykalni są dziś u żłobu w Szwajcaryi i dobrze im z tem. Ale pokazują się rozmaite znaki na ziemi i na niebie, które spokój ich zatruwają — a takim znakiem jest właśnie młody uniwersytet fryburski, który — pomimo tysiąca przeszkód, jakie zwalczać musiał — rozwinął się w krótkim czasie w sposób, zdolny zatrwożyć tych, co — przez szczególną ironię historyi — odziedziczyli miano „liberalnych“. Czasy kulturkampfu nie wrócą, czują to dobrze radykalni; ale spokój, jaki obecnie panuje, nie może ich zadowolnić — i mają, zdaje się, zupełną tym razem słuszność. W spokoju tym dzieje się coś — przygotowuje się powoli, ale nieuchronnie, zmiana wielka w opinii ludu szwajcarskiego, zmiana, która do steru powołała niedawno w Tesynie i Genewie konserwatystów i która grozi przełomem w życiu politycznem i społecznem całego kraju. Despotyzm radykalny trwał z górą lat pięćdziesiąt. Gdy raz odejdzie, więc można być pewnym, że na długo.

Obłudni, chcąc uchylić się od zarzutu: „a katedra berneńska!“ — powiadają, że to nie tyle sam fakt loteryi ich przestrasza, ile suma „sześciu milionów!“ Zapewne to suma znaczna; mężowie stanu we Fryburgu nie robią bowiem nic przez pół i chcą postawić swoją wszechnicę na stopie pierwszorzędnej (idzie o otworzenie wydziału medycznego, którego dotychczas uniwersytet był pozbawiony). Czy się niezbyt daleko zaawansowali? Czy mały ten kraik jest odpowiedzialnym do wysokości sumy tak dużej?

Odpowiedź na te obawy nie budzi żadnej wątpliwości i nie dopuszcza żadnego wahania. Przed laty, gdy budowano kolej w Szwajcaryi, postanowiono ominąć górzysty Fryburg, z powodu wielkich kosztów konstrukcyi. Fryburg uparł się przecież. Chciał być połączony z światem, i zgodził się pokryć nadwyżkę kosztów. Ta nadwyżka wyniosła czterdzieści milionów. Od lat pięciu dług jest spłacony, a nawet okazało się, że w kasie istnieje siedm milionów oszczędności...

Wtedy to właśnie dzielny trybun ludowy, minister oświaty p. Phyton, zapytał wieśniaków fryburskich:

„Czy chcecie, żeby podatki zmniejszono, czy wolicie mieć uniwersytet?“

I ten lud fryburski, nad którego ciemnotą tyle łez wylano, któremu ofiarowano tyle współczucia z powodu tego bolesnego faktu, że meuerzy nie mogli zaprowadzić w tym kantonie bezwyznaniowego wykształcenia, tak mu odpowiedział:

„Niech podatki zostaną te same. Założcie uniwersytet na chwałę boską.“

Dziś, przy rozwoju hodowli bydła i fabrykacyi serów, które się tak świetnie na zeszłorocznej szwajcarskiej wystawie zaprezentowały, o interesa finansowe kantonu nie można mieć żadnej troski... Chyba, że się jest radykałem szwajcarskim.

Hrabstwo ulsterskie w Irlandyi, walczące przeciw billowi Gladstona, wydało następującą odezwę, którą ogłasza *Daily Telegraph*: „Chcemy zachować jedność brytańską, nie chcemy naszym handlem, przemysłem i bogactwem zasilać żebraczej kasy przyszłego rządu irlandzkiego (?). Pragniemy uchronić religijną swobodę od tyranii fanatycznych katolicko-narodowych księży. Jesteśmy zupełnie zadowolnieni ze stanowiska naszego w monarchii i żadnym wabikiem nie damy się złudzić do takiego stopnia, abyśmy się poddali dublińskiemu parlamentowi. Samorząd irlandzki zniszczy nasz handel, rozwinie nad nami celtycki despotyzm, zgnębi nasze wyznanie, a to wszystko dlatego, żeśmy niekatolicy i Anglicy. Powinniśmy tedy walczyć z projektem Gladstona wszelkimi środkami, jakie są w ludzkiej mocy, nie wykluczając nawet wojny domowej, której skutki niech obciążą sumienie wrogów państwowej jedności“.

Bardzo poważny dziennik *Morning Post* zapewnia, że już między oficerami powstał związek ku obronie jedności państwowej. Każdy oficer podpisał przyrzeczenie, że przejdzie do szeregów ulsterskich, jeśli zacznie się wojna domowa. Oficerów, którzy w Anglii kupują swe stanowiska, może wydalić z armii tylko sąd wojenny, złożony z oficerów, zatem ministeryum jest bezsilne wobec tego spisku, który powstał przeciw samorządowi irlandzkiemu. Publiczność chwali tę rokoszańską postawę wojska, czemu się dziwić nie można, skoro zacietrzewienie się jest tak wielkie, że wbrew zasadzie konstytucyjnej Balfour, były minister, mógł zawołać: „Jak tyrańskiego króla naród ściął, tak ściąć mu wolno tyrańską większość w parlamencie.“

Ale cóż w takim razie zostanie? Przecie mniejszość zawsze utrzymuje, że jest tyranizowana przez większość. Jeśliby zastosować teoryę Balfoura, to każdy pójdzie do mniejszości, aby nie być ściętym, a ta mniejszość, jeśli zechce być sprawiedliwą, powinna siebie gilotynować, bo stanie się większością i to arcytyrańską.

Nie pozostaje nic, jak dla ratowania samorządu irlandzkiego wyłączyć Ulster i ten jedyny powiat zatrzymać przy Anglii.

Nieurodzaj w Rosyi.

Pod tym tytułem p. K. Werner pomieścił w „Wiestniku Jewropy“ nader pouczającą pracę, którą pragniemy streścić. Dzieli się ona na trzy części: pierwsza — poświęcona warunkom klimatycznym Rosyi; druga — jej warunkom gospodarczym; trzecia zawiera konkluzyę.

I.

Warunki klimatyczne.

Jako główny powód nieurodzajów w Rosyi uważa zarówno prasa, jak i publiczność — zmianę warunków klimatycznych: brak deszczów, wysychanie rzek i jezior, a to wszystko jako następstwo wycięcia lasów i osuszenia błot poleskich. Zdanie to powstało w roku 1870-ym i następnych, kiedy spostrzeżono, że poziom wód w znacznej części rzek i jezior środkowej Europy stopniowo opada. Od tego czasu jednak przekonano się, że wiele jezior napowrót napełnia się wodą, a nauka orzekła, że poziom morza Kaspijskiego podlega peryodycznemu chwianiu się i że podobne zjawisko daje się także spostrzegać w jeziorach zachodniej Syberyi. W jednym tylko okręgu iszimskim, gub. tobolskiej, liczono w r. 1841-ym około 360 jezior, z tych wiele miało 20 a nawet 40 wiorst oblewu, a do ośmiu arszynów głębokości potem wszystkie te jeziora tak dalece wyschły, że dna ich zmieniły się w łąkę a nawet w orną ziemię. Lecz w r. 1854-ym owe jeziora zaczęły się powoli napełniać wodą, a w r. 1859-ym wszystkie niemal wróciły do dawnego stanu. Podobne zjawisko spostrzeżono w środkowych częściach północnej Ameryki, a w Australii znów przekonano się, iż wycięcie lasów podniosło poziom wód i spowodowało tworzenie się nowych zbiorników.

Zjawiska te naprowadziły na myśl, że mamy do czynienia nie ze zmianą klimatu, ale z peryodycznem jego chwianiem się i że powodów tego chwiania się należy szukać nie w przyczynach miejscowych, lecz ogólniejszych, być może nawet w kosmicznych warunkach naszej planety. W tym też sensie berneński profesor Brückner zakomunikował ostatniemu kongresowi geograficznemu spostrzeżenia swe nad chwianiem się, jakiemu podlegał klimat Europy, dochodząc do wniosku, iż mniej więcej co lat 35 bardziej dżdżyste i chłodne okresy zmieniają się z ciepłemi i suchszemi. Wnioski te ujął on w następującą tabelkę:

Dżdżyste i chłodne okresy:
lata: 1691—1715, 1730—1750, 1766—1775, 1806—20, 1836—55, 1871—85.

Suche i ciepłe okresy:
lata: 1716 1729, 1751—1766, 1776—1805, 1821—45, 1856—70, 1890—1905

Czyli, według Brücknera, od r. 1890 wstąpiliśmy w dłuższy lub krótszy okres posuchy. Spostrzeżenia te potwierdził meteorolog niemiecki, Kremsten, tudzież Trip i Richter, dochodząc do tych samych rezultatów inną metodą badań. Długość okresów chwieje się między 25 a 40 laty, przeciętniowo przyjąć można 35, a nie wynika z tego bynajmniej, aby w okresach dżdżystych i chłodnych nie było wcale upałów oraz suszy — i na odwrót; zestawia się tu jeno porównawczo lata obu okresów, a wszystko zależy od promieniowania słońca. Jeśli promieniowanie to podlega peryodycznej chwiejności, to taka sama peryodyczność musi występować i w zmianach atmosferycznych: w temperaturze, opadzie, poziomie rzek, jezior i lodowców.

Pod względem rolniczym suche okresy sprzyjają zachodniej Europie, mokre zaś lata Rosyi, Syberyi, Ameryce północnej i Indyom. Na podstawie danych historycznych dowodzi też w dalszym ciągu autor, że i nieurodzaje występują również peryodycznie i że nie ograniczają się nigdy na jednym roku, ale na całym szeregu lat. Tak w XIym wieku w całej Europie nieurodzaj ponawia się przez 4 lata od 1092 do 95, w XIIIym przez trzy lata od 1297 do 99, w XVIym i XVIIym lata nieurodzajne i urodzajne następują po sobie jak w przypowieści biblijnej krowy chude po tłustych. W naszym wieku pierwsze 20 lat należą do urodzajnych i dopiero w roku 1821 nastaje w Rosyi głód, trwający trzy lata z rzędu. Po nich przychodzi 9-letni okres normalny, zmieniający się w r. 1833 w nową seryę nieurodzajów, która trapi Rosyę do roku 1850. Przez te lat ośmnaście było 9 lat głodowych. Od r. 1850 do 1864 był jeden tylko nieurodzaj w r. 1859, a później po nieurodzajach 1865 i 67 r. przychodzą klęski częściowe, dotykające tę lub ową gubernię, ogólny jednak nieurodzaj zjawia się dopiero w r. 1891ym.

Co się tyczy wpływów klimatycznych, sprowadzających nieurodzaje, to długa posucha, dzięki której wysychały rzeki i błota, pękała ziemia, a gorzały lasy, była bezpośrednią przyczyną klęsk w latach: 1092, 1124, 1223, 1297, 1299 i 1366. Nieurodzaj znów drugiej połowy XVgo wieku i w początku XVIgo pochodził na odwrót od nadmiaru deszczów w porze kwitnienia zbóż, od zbytniej wilgoci w czasie zwózki, od burz itd. Od roku 1523 zaczyna się znów posucha, a z końcem XVIgo i początkiem XVIIgo wieku, jak wykazuje Brückner, okres dżdżysty i chłodny. Wówczas to słynny głód w Rosyi za Borysa Godunowa powstał w skutek deszczu, trwającego 10 tygodni z rzędu, poczem już w sierpniu nastąpiły mrozy. W XVIIIym wieku (1720—1730) posucha. W naszym wieku nieurodzaj w r. 1844 ma przyczynę w nieustających deszczach, w r. 1846, 48 i 50, w kwietniu, maju i czerwcu posucha, później w czasie zbiorów deszcz. Nadto, według wykazów Wesołowskiego, od r. 1843 do 1852 ani jeden rok nie obszedł się bez gradobicia. W r. 1859, 65 i 67 znowu posucha. Od 1870 nastaje 15-letni okres dżdżysty, tem dla wywozu rosyjskiego korzystniejszy, że w zachodniej Europie owe deszcze wywołują dziewięć z kolei lat nieurodzaju; natomiast w tym właśnie czasie północna Ameryka powiększa swój wywóz zbożowy do Europy.

W ogóle w całej Rosyi od r. 1880 do 90 zboża częściej cierpiały od braku deszczu i zimna, aniżeli od suszy. W r. 1880 w wielu miejscowościach europejskiej Rosyi oziminom szkodzą fatalnie silne mrozy, a następnie gradobicia, co powoduje ubytek 6½ miliona rs. W 1882 r, w drugiej połowie lata, przychodzą deszcze, przeszkadzające zbiorom: w 1884 r. gradobicia sprowadzają ubytek 4 milj. rs.; w 1885 r., po silnej suszy, zaczynają się deszcze, trwające do października, zboża miejscami nie dopisują, lub porastają na pniu; w Kurlandyi wylew rzek. W r. 1888 deszcze przypadają na czas kwitnienia zbóż. Wreszcie, w 1889 roku, w sierpniu i wrześniu nieustanne deszcze w większej części gubernii czarnoziemnych, gdzie proso i hreczka tracą do 70 prct., gdyż w wielu miejscowościach zostają i gniją w polu, aż do początku października.

Jeśli się zważy, że w Rosyi w ogóle, a zwłaszcza w t. zw. urodzajnych guberniach, stopień urodzajów jest niesłychanie zmienny, gdyż, jak wykazała t. zw. komisya Wałujewa, w gub. samarskiej pszenica daje od 100 do 300 pudów z desiatyny, a w Noworosyi jeden rok urodzajny może powetować 6 lat klęsk, przeto „urodzaje nasze — mówi autor — są niewolniczo zawisłe od najmniejszych chwiań klimatycznych“.

„Przy obecnym stanie techniki agronomicznej — pisze dalej p. Werner — rozporządzającej już rozmaitego rodzaju udoskonalenia-mi (marzącej nawet o sztucznych deszczach), zawisłość ta jest nienormalną. Pochodzi ona stąd, iż z jednej strony nie umiemy patrzeć na glebę, jak na warsztat, mający dostarczyć żywnościowych produktów i w dalszym ciągu twierdzimy, że nie *niwa rodzi, lecz niebo*, z drugiej strony, i to głównie z powodu, że warunki ekonomiczne, w jakich znajduje się nasze rolnictwo, nie dają mu możności borykania się z przyrodą przy pomocy tych środków, którémi już rozporządzają nasi współzawodnicy w Europie“.

Projekt podniesienia kraj. szewstwa z upadku.

Ze wszystkich rzemiosł żadne u nas tak szybkim krokiem nie zbliża się do zupełnego upadku, jak szewstwo. Przed laty kilkunastu jeszcze stanowili szewcy lwowscy poważny i zamożny stan mieszczański, a dziś na palcach można policzyć tych szewców, którzy jako tako się mają, reszta są to sami biedacy. Ale bo też stosunki zarobkowe szewców zmieniły się do niepoznania, towar fabryk wiedeńskich i czeskich wyrugował wyroby miejscowe, a setki szewców nie mają przez większą część roku żadnego zajęcia. Jeszcze w r. 1870 szewcy lwowscy wyrabiali obuwie na export do Rosyi i Rumunii, a chociaż już i wtedy sprzedawano po magazynach galanteryjnych obuwie z fabryk wiedeńskich, jednakże ta konkurencya nie była dotkliwą dla naszych szewców, bo ceny tych fabrycznych wyrobów były nie o wiele tańsze, a publiczność miała większe zaufanie do wyrobów szewców lwowskich, które jakkolwiek nieco droższe były jednak o wiele trwalsze. Tymczasem wzrastał coraz bardziej napływ obuwia fabrycznego, konkurencya stawała się coraz trudniejszą, a zabójczy cios szewstwu naszemu zadała fabryka Frenkla z Mödlingu, która w r. 1888 założyła w Galicyi 15 magazynów obuwia, a na Bukowinie dwa. Dziś już zaledwie kilkunastu majstrów szewskich, zamożnych jeszcze z dawnych czasów, utrzymuje się przez to, iż daje obuwie na kredyt, ale i to im nie wiele pomoże, bo większa część publiczności zadłużywszy się u szewca, porzuca go i kupuje potem obuwie w bazarach wiedeńskich za gotówkę. W ten sposób grozi szewcom we Lwowie i w całej Galicyi kompletna ruina. Niektórzy ludzie podają ten sposób ratunku, aby założono w kraju taką samą fabrykę, jaką ma Frenkel w Mödlingu. To jednak nie doprowadziłoby do celu. Przedewszystkiem potrzebaby na założenie takiej fabryce kapitału milionowego, którego wszyscy szewcy w Galicyi nawet w cząstce by nie zebrali, a powtóre, gdyby nawet zebrano kapitał i założono fabrykę, to nie wieleby to pomogło, bo zaledwie kilkuset robotników dostałoby w niej zajęcie, a tysiące szewców upadłoby do reszty.

O wiele lepszy sposób załatwienia tej piekącej kwestyi podaje tutejszy majster szewski p. Adolf Alexandrowicz w memoryale, przedłożonym Wydziałowi krajowemu. Oto proponuje on, aby zamiast zakładania wielkiej fabryki obuwia zorganizowano z dzisiejszych majstrów szewskich stan drobnych fabrykantów. Podzielić ich należy na specyalistów ośmiu klas, a mianowicie: 1) fabrykantów wierzchów męzkich, 2) fabrykantów wierzchów damskich, 3) fabrykantów wierzchów dziecinnych, 4) fabrykantów spodów męskich szytych i kutych, 5) fabrykantów spodów damskich, 6) fabrykantów spodów dziecinnych, 7) fabrykantów butów dla mężczyzn i dla chłopców, 8) fabrykantów spodów damskich, wywrotków płytkich, pantofli i pepuczy.

Towarzystwo handlowe powinno przy Bazarze krajowym otworzyć wielki magazyn gotowego obuwia, dostarczanego przez tutejszych fabrykantów. W magazynie tym odbywałaby się sprzedaż hurtowna kupcom i majstrom szewskim, utrzymującym przy swoich pracowniach sklepy z gotowem obuwiem. W razie potrzeby mógłby Bazar krajowy sam potwo-

---

13)

WSPOMNIENIA

Z PODRÓŻY DO AUSTRALII

przez

ROMANA UJEJSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Dingi zwietrzyły krowę, wyły noc całą, krążąc wokoło łupu ponętnego i czuwających. O świcie ruszyli dalej. Zaczęli się spuszczać do tych olbrzymich wąwozów. Na jakimś zakręcie czy jeden pociągnął za mocno sznurem, czy drugi pchnął za energicznie o kamień zaczepione taczki — dość, że się przewróciły zawisłe na sznurze nad przepaścią, a krowa, tłukąc niemiłosiernie o skały i wiszary, pozostawiała co lepszego jeszcze było przy kościach po drodze, spadając na sam spód głębokiego jaru.

Ile trzeba było zachodu i pracy do wydobycia jej z dołu — ten pojmie, kto przejeżdżał tamtędy. Wreszcie sprowadzili szczęśliwie te szczątki na miejsce przeznaczone nad ten strumyk sączący się w dole, znieśli z odległej siedzieby swojej kotły, siekiery, przyrządy i pod wieczór już rozpoczęli fabrykę. Upał całodzienny zrobił swoje, a odkładanie do rana roboty odbyłoby się kosztem aromatu przyszłego bulionu.

Nareszcie ogień ozłocił te czarne i niewdzięczne przeprawą skały. Fabryka rozpoczęła się. Zrazu szło dobrze; nadzieja zysków i plan przyszłej fabryki polskiego bulionu u antypodów— podtrzymywała strudzonych przemysłowców.

Aby ciągle nie podkładać ognia, rozłożyli raz — a dobrze! Woda kipiała, bulion się robił, lecz i zmęczenie fizyczne i upojenie moralne z rozpoczętego dzieła działały także. Sen stulał powieki, a smętne i dalekie już wycia dingów do snu kołysały jak śpiew łabędzi... posnęli.

Przez gąszcze ciemne przedzierało się ciekawe słońce poranne. W dole przy fabryce zmrok jeszcze panował i cisza — i spokój — i sny złote fantastyczne o rozgłosie polskiego bulionu i płynących dochodach, o domku nowym zamiast budy, o meblach własnych miast z listków posłania.... o czem nie śnili tam w dole?

Zbudzeni nareszcie dniem jasnym, najpierw poczuli woń spalenizny dokoła, a przetarte oczy padły na czarne zwęglone piszczele krowie z puszek sterczące. Sen swoje zrobił, ogień swoje.

Kopnięte puszki potoczyły się z brzękiem w dół głębszy — kości spalone nawet i dingów nie zachęcały.

Taki to był koniec początku pierwszej fabryki polskiego bulionu w Australii. Na prawo z werandy, gdzieśmy wypoczywali ponad lasów tych morzem, rozścielały się chmury dymu, z oddali z czarnego tła zarośli, migały ognie. To znów paliła się już od dwóch tygodni opuszczona Woronora przyjaciela mego. Mówiła Müllerowa, że teraz wiatr w te strony nie ciągnie — to znośniej; ale przedtem już chcieli uciekać z domu obawiając się uduszenia. Gęste dymy przez cały tydzień zalegały ich gospodarstwo. Palą się te lasy spokojnie, długo, dopokąd im się chce i podoba.

Podczas ostatniej posuchy, na pół roku przed mojem przybyciem, trwającej 14 miesięcy, nietylko że w skutek braku paszy i wody zginęło w Austryalii 12 milionów owiec i siedm milionów bydła to jeszcze takie straszne pożary lasów rozprzestrzeniły się po kraju całym, że słońce miesiącami zaćmione było, a egzystencya w niektórych okolicach była wprost niemożliwą. Kto mógł, uciekał do Nowej Zelandyi i do Tasmanii — gdzie deszcze padały.

I nam już czas był do odwrotu, choć dymy tym razem szły na dalsze lasy, lecz drogę mieliśmy dłuższą, nie chcąc się puszczać pod zmrok przez niebezpieczne wertepy i gąszcze.

Wydawszy więc na dalsze roboty rozporządzenie Müllerom, wsiedliśmy na konie i znów z powrotem do Minto jechali.

Drożyna prowadziła prosta jak linia leśna. Koloryt drzew i krzewów jakiś był żywszy pod wieczór, weselszy, nie tamowały nam drogi ni skały ni głazy — jechało się nam dobrze.

Co chwila kanguru mały pomykał przez drogę, zlatywały często papugi i inne barwne ptastwo: widziałem dopiero wtedy, jak wielka to ilość zwierzyny kryła się gdzieś, gdyśmy w południe te lasy przebywali. Pod wieczór zdążyliśmy do stacyi i wycieczkę tę godnie po australsku zakończyli. Pan W. zostawił trętle i siodła naczelnikowi, a konie puszczone wolno od szyn kolejowych — pognały jak wicher znanymi sobie ścieżkami do farmy Gaubertów.

Wieczór w Sydney spędziliśmy w klubie francuskim pośród licznych towarzyszów podróży z Australiena.

Z instrukcyi listowej przyjaciela mego i z rad znajomych Polaków, trzy dni czekać jeszcze miałem w Sydney na odpływający do Richmond—River statek największy, najbezpieczniejszy z tych, które tam od czasu do czasu płyną.

Przez te więc dnie nie próżnowałem i opowiem co spostrzegłem, com usłyszał, na co zdumiałem z podziwu dla rozumu lub nierozumu mieszkańców.

Muzeum bardzo ładne, bardzo bogate i nadzwyczajnie ciekawe — tam więc poszedłem najpierw. Mieści ono wszystko, co Australia miała i ma teraz Ułożone umiejętnie, daje łatwy i przystępny obraz każdemu. Więc: fauną lądową i morską — geologiczne okazy, kopalniane, przemysłowe „swojskich“ ludzi i dzikich.

Objętą jest w zbiorach nietylko Australia, ale i wszystkie wyspy oceanu Spokojnego, należące do niej pod szumną nazwą „Australazyi“.

Wykopaliska pierwotnych zwierząt i szkieletów, z których imponująco wyglądał zaginiony już ptak „moa“, przewyższający po dwakroć największego strusia. Zanużyłbym, wyliczając wszystko to, co miałem w katalogu podkreślonego. Zamiast dać przelotny obraz tego, co tylko w przelocie widziałem, wolę przedstawić Australię tak, jak mi się wydała z kilkumiesięcznego pobytu u przyjaciela mego, wolę dać szkic żywej i dzikiej natury, niż martwy.

Obok muzeum przelatuje co 10 minut pociąg kolei tak szybko, że codziennie rozjeżdża przynajmniej jednego człowieka — ale to po australsku.

Niedaleko jest wzgórze dzisiaj zabudowane całkiem, obok którego Cook przed stu laty szukając jakiejś przystani dla statku swego, wylądował, które nazwano później Botany-Bay.

Majtek Jackson wyszedłszy na ten pagórek spostrzegł ogromną, daleko rozgałęzioną w lądzie zatokę. Zwrócili zaraz okrętem, opłynęli wzgórze i zarzucili kotwicę, gdzie dzisiaj Sydney zbudowane.

Na tę pamiątkę nazwano Sydneyską zatokę Port-Jackson. Miasto znów, złączyło na zawsze nazwiska tych dwóch odkrywców, rozciągając się od portu przez wzgórze aż na drugą stronę, do Cook's-River.

Chodząc dalej ulicami, oryentowałem się bardzo trudno i przypisuję to temu, że wszystkie ulice podobne do siebie, równe jak w szachownicy, a domy szablonowo stawiane, czynią wszystko i wszędzie jednakie.

Katedra w gotyckim stylu ładna — no i poczta z głośnemi australskiemi rzeźbami. Głośnemi dlatego, iż są w rzeczywistości dziwolągami, a były poruszane w parlamencie. A propos bowiem tych rzeźb wydarzył się tam dość komiczny epizod. Gdy raz na posiedzeniu parlamentu chodziło o danie zapomogi jakiemuś o wątpliwych zdolnościach literatowi australskiemu, sprzeciwił się minister poczt, zarządzający właśnie budową swego urzędowego gmachu; podając za powód brak odpowiednich kwalifikacyi petenta. Na to wystąpienie, prezydent ministrów Parks (nie dawno jeszcze wprawdzie pracujący w warstacie szewskim, dziś jednak dla swoich genialnych zdolności, pierwszy mąż stanu Australii) dowcipnie odpowiedział, że australska sztuka z literaturą tak są zbliżone, iż skoro dano znaczne fundusze na rzeźby do poczty, to i temu wydawnictwu literackiemu poparcia pieniężnego odmówić nie można.

(Ciąg dalszy nastąpi).

rzyć sklepy filialne dla drobiazgowej sprzedaży. Magazyn główny dostarczałby drobnym fabrykantom materyału na sporządzanie wierzchów i spodów. Aby dać drobnym fabrykantom możność dokładnego poznania i nabycia wzorów obuwia i narzędzi pomocniczych, należy z krajowego funduszu przemysłowego zakupić te towary, a oprócz tego należy kosztem tegoż funduszu założyć dla czeladników szewskich szkołę kroju i towaroznawstwa, tudzież wydawać pismo fachowe dwutygodniowe, albo przynajmniej miesięcznik.

Pan Alexandrowicz w memoryale swym cyfrowo udowadnia, jakie korzyści odniesie szewc wyrabiając obuwie na sposób fabryczny. Za podstawę obliczenia bierze on majstra pilnego, w sile wieku, który prowadzi swą pracownię przy pomocy dwóch czeladników i jednego ucznia i ma cały tydzień zajęcie. Cały ten warsztat wyrobi obecnie przez tydzień 8 par bucików i 6 par t. z. podzelowań. Tych ośm par bucików majster sam przykroił, wierzchy nakleił i częścią w rękach, częścią na maszynie wyszył, a oprócz tego jednę parę sam zrobił. Resztę czasu stracił na przyjmowaniu i oddawaniu zamówień, na zakupno materyału i inne zajęcia, terminator zaś zajęty był odnoszeniem gotowej roboty, oprócz tego zarobił tyle, że powinno to wystarczyć na jego wyżywienie. Za tych ośm par bucików różnego gatunku otrzymał 53 zł. 50 ct., za 6 par zelówek 7 zł. 60 ct., razem więc miał dochodu w ciągu tygodnia 61 zł. 10 ct. Za materyał jednak wydał 29 zł. 50 ct., czeladzi zapłacił 11 zł. 05 ct., pozostało mu więc 20 zł. 55 ct. Z tego potrącić należy: czynsz tygodniowy za lokal na pracownię 6 zł. 50 ct., światło i opał 1 zł., zużycie narzędzi, kopyt i t. p. 50 ct., strata poniesiona na gościach za dane im na kredyt obuwie 50 ct., podatek i dopłata do kasy chorych za czeladź 30 ct, razem 8 zł. 80 ct. — tak, że pozostaje mu czystego zarobku 11 zł. 75 ct. Ileż zarobi ten sam warsztat, wyrabiając fabrycznie same buciki gemzowe damskie? Za podstawę obliczenia bierze p. Alexandrowicz parę damskich bucików gemzowych, sprzedawanych w magazynach wiedeńskich po 5 zł. Materyał kosztuje 2 zł. 45 ct, a czeladnikowi za robotę zapłacić trzeba 80 ct. Dwóch czeladników zrobi przez tydzień co najmniej 18 par, a majster przy pomocy terminatora może zrobić 2 pary i 20 par wierzchów przykroić, nakleić i na maszynie wyszyć. Za tych 20 par otrzyma w centralnym magazynie po 4 zł. 20 ct., a zatem razem otrzyma 84 zł. Materyał kosztować go będzie 49 zł., czeladzi zapłaci 14 zł. 40 ct., pozostaje mu zatem 20 zł. 60 ct. Z tego potrącić czynsz za lokal dalej od śródmieścia położony, tańszy i wygodniejszy 4 zł., światło i opał 1 zł., zużycie narzędzi 30 ct., podatek i kasa chorych 50 ct., razem 5 zł. 80 ct. — pozostaje mu więc czystego zysku *14 zł. 80 ct.* A zatem i majster i czeladnicy więcej zarobią, a zarobek będą mieli przez cały rok bez przerwy, podczas gdy dzisiaj szewcy w porze zimowej przez trzy miesiące nie mają prawie żadnego zajęcia. Nadto trzeba wziąć i to na uwagę, że majster i czeladnik wyrabiając fabrycznie jedno i to samo obuwie, nabiorą po kilku tygodniach takiej wprawy, że zamiast 20, bardzo łatwo 24 par bucików tygodniowo wykończyć mogą. Największą korzyścią zaś będzie dla majstrów to, że w każdym czasie dostaną w bazarze krajowym dobór wierzchów, których mogą użyć także na swoje obstalunkowe roboty.

W ten sposób należy zdaniem p. Alexandrowicza zorganizować szewców nie tylko we Lwowie, ale we wszystkich miastach galicyjskich. Liczba szewców we Lwowie wynosi wedle obliczenia Alexandrowicza przeszło 1.500 nie licząc terminatorów.

Dla przeprowadzenia takiej organizacyi i pośredniczenia między szewcami a bazarem krajowym, należy zdaniem p Alexandrowicza powołać przynajmniej na lat kilka człowieka fachowego, szewca i towaroznawcę, któryby wykonywał nadzór nad całem tem szewstwem fabrycznem jako instruktor krajowy.

Memoryał ten zawiera wiele bardzo trafnych i zdrowych myśli i niezawodnie zostanie wzięty pod gruntowną rozwagę.

SPRAWY KRAJOWE.

Jednem z najważniejszych przedłożeń, które Wydział krajowy przygotował na najbliższą sesyę sejmową, jest projekt ustawy o policyi ogniowej dla gmin wiejskich i obszarów dworskich. Sprawą tą od dawna już zajmował się nasz Sejm. W żadnym kraju bowiem pożary nie zrządzają takich spustoszeń jak w Galicyi. A cyfra tych szkód powiększa się z każdym rokiem. Z dołączonego do sprawozdania Wydziału krajowego wykazu pożarów w Galicyi z lat dwudziestu od r. 1870 do 1889 dowiadujemy się, że gdy w r. 1870 szkody zrządzone przez pożary w Galicyi wynosiły 1,746.644 zł., to w r. 1880 wynosiły one prawie 3 miliony, a w 1888 r. 5,990.000 zł. Z tej sumy przypada przeciętnie 70 prct. na szkody niepowetowane, gdyż budynki zniszczone przez pożar nie były ubezpieczone.

To też już w r. 1890 polecił Sejm Wydziałowi krajowemu wnieść projekt ustawy o policyi ogniowej dla gmin wiejskich i wziąć pod rozwagę kwestyę ustanowienia posady krajowego inspektora straży ogniowych. W wykonaniu tego polecenia przedkłada Wydział projekt osobnej ustawy krajowej o policyi ogniowej. W projekcie tym przyjął Wydział zasadę tworzenia wspólnych okręgów pożarnych dla gmin wiejskich łącznie z obszarami dworskimi. Prawo nadzoru nad tymi okręgami przysłuża Wydziałom powiatowym. Pośrednikiem między dworem a gminą, tudzież między nimi oboma i Wydziałem powiatowym będzie miejscowa komisya pożarna, składająca się z delegata Wydziału rady powiatowej, przełożonych obszarów dworskich i z naczelników gmin w skład okręgu pożarnego wchodzących. Komisya ta oznaczy miejscowy regulamin pożarny, wykona przynajmniej raz do roku rewizyę wszystkich budynków, oszacuje w przybliżeniu wartość spalnych części budynków tak na obszarach dworskich jakoteż i w gminie, jeżeli wartość tych budynków nie jest wiadomą z polic asekuracyjnych, oznaczy miejscowość odpowiednią na siedzibę stacyi pożarnej, oznaczy jakie narzędzia ogniowe i w jakiej ilości utrzymywać ma stacya pożarna, oraz właściciele budynków, obszary dworskie, tudzież zakłady fabryczne i przemysłowe znajdujące się w okręgu, oznacza liczbę studzien i zbiorników wody, potrzebnych w każdej miejscowości i t. p.

Do straży pożarnej miejskiej należą przedewszystkiem te osoby, które się dobrowolnie do służby tej zgłoszą, a dopiero w razie braku ochotników, ma komisya pożarna prawo wyznaczyć potrzebną liczbę osób z mieszkańców okręgu pożarnego do pełnienia obowiązków w straży pożarnej.

W pierwszym projekcie przyjął Wydział krajowy zasadę obowiązkowego należenia do straży pożarnej wszystkich mężczyzn, zamieszkałych w okręgu, w wieku 18 do 42 lat, wszelako musiał zmodyfikować to postanowienie, gdyż reprezentant rządu oświadczył, iż ustawa z takiem przymusowem urządzeniem straży ogniowej nie może liczyć na uzyskanie sankcyi monarszej. W razie pożaru musi każdy mieszkaniec okręgu, chociaż nie należy do straży, na wezwanie miejscowej władzy nieść pomoc przy gaszeniu pożaru, w przeciwnym razie będzie karany. Właściciele studzień, sadzawek, stawów, młynówek i innych zbiorników wody nie mogą zabronić czerpania wody z tych zbiorników podczas pożaru. Każdy właściciel koni musi na zarządzenie władzy miejscowej albo kierującego gaszeniem pożaru dostarczyć koni i zaprzęgów za wynagrodzeniem oznaczonem w regulaminie pożarnym. Mogą być także użyte do gaszenia pożaru zaprzęgi zamiejscowe, znajdujące się przypadkowo na miejscu pożaru. Gminy i obszary dworskie tej samej miejscowości, obowiązane są wzajemnie ze strażami swemi bez wynagrodzenia i bez wezwania śpieszyć na ratunek o tyle, o ile każdej z nich nie grozi niebezpieczeństwo. — Także sąsiednie okręgi pożarne obowiązane są w razie dostrzeżenia pożaru u sąsiada nieść pomoc, jeżeli nie są na swoim własnym obszarze zagrożone. Każda gmina i każdy obszar dworski obowiązane są starać się o to, aby zawsze posiadały dostateczny zapas wody do gaszenia pożaru. Tam, gdzie nie można urządzić studni, należy zakładać cysterny lub sadzawki, które przynajmniej raz na rok mają być czyszczone.

Koszta sprawienia narzędzi i rekwizytów ogniowych dla stacyi pożarnej, tudzież utrzymania pogotowia ponoszą gminy i obszary dworskie w stosunku wartości posiadanych budynków. Oprócz tego musi każdy właściciel domu zaopatrzyć się własnym kosztem w niezbędne rekwizyta. Końcowe paragrafy ustawy zawierają postanowienia o postępowaniu podczas pożaru i po pożarze, a mianowicie, kto ma kierować ratunkiem, kiedy można naruszyć prywatną własność w celu gaszenia pożaru, jak należy dochodzić przyczyn pożaru itp.

Przekroczenia tej ustawy, o ile nie podlegają ustawie karnej lub budowniczej, karane będą grzywną od 50 ct. do 25 zł., albo aresztem od 12 godzin do 5 dni. Kary pieniężne wpływają do funduszu utrzymywania rekwizytów ogniowych w miejscowym okręgu pożarnym. Oto są główne postanowienia projektowanej ustawy.

KRONIKA.

Lwów 11 Kwietnia.

Mianowania. Cesarz nadał sekretarzowi ministeryalnemu w ministeryum sprawiedliwości, Witołdowi Hausnerowi, tytuł i charakter radzcy sekcyjnego.

P. Stefan Czarnecki mianowany został kancelistą Namiestnictwa i przydzielony do służby w starostwie rohatyńskiem.

Starszy inżynier kolei Karola Ludwika, Emil Pohlmann we Lwowie, mianowany został inspektorem cementniczym dla Galicyi.

Wydział krajowy nadał opróżnioną przez śmierć ś. p. dra Krówczyńskiego posadę prymaryusza w kraj. szpitalu powszechnym we Lwowie, dr. Michałowi Świątkiewiczowi.

Przeniesienia. Dyrekcya poczt i telegrafów we Lwowie przeniosła kontrolora pocztowego Karola Motala z Przemyśla do Lwowa.

Konkursa. Ministeryum wojny rozpisało konkurs na 25 miejsc w instytutach dla sierót po oficerach, na 190 miejsc w wojskowych niższych szkołach realnych, wreszcie na 60 miejsc w Akademii wojskowej w Wiener-Neustadt i w Akademii technicznej wojskowej w Wiedniu. Miejsca te, są zupełnie bezpłatne, lub w połowie bezpłatne, a nadane będą z początkiem roku szkolnego 1893/94. Równocześnie będzie do obsadzenia 31 miejsc w Akademii marynarki w Riece.

Odznaczenie. Sekretarz legacyjny austro-węgierskiej ambasady w Konstantynopolu, hr. Koziebrodzki, otrzymał turecki order „Osmanie" trzeciej klasy.

Sluby. Onegdaj w kościele archikatedralnym we Lwowie odbył się ślub panny Ludwiki Heydenreichówny, córki śp. Michała, jenerała wojsk polskich i śp. Elizy z Ostrowskich, z p. dr. Piotrem Kucharskim, cenionym lekarzem, prym. szpitalika im. św. Zofii.

W sobotę dnia 15 kwietnia o godzinie 7 wieczorem odbędzie się w kościele OO. Bernardynów ślub panny Jadwigi Baylówny, córki Anieli i Stanisława Baylów, z p. Piotrem Kozłowskim.

Posiedzenie Rady miejskiej odbędzie się we czwartek dnia 13go b. m. o godzinie szóstej wieczorem.

Wystawa sztuk pięknych nie będzie już oświetlaną wieczorem, — natomiast otwartą będzie od godziny 10 do 5 po południu.

Wybory do Sejmu. Jedno z pism lwowskich doniosło, iż wybor y, opróżniony wskutek śmierci śp. Leona ks Sapiehy mandat poselski do Sejmu, ofiarowali p. Tadeuszowi Cieńskiemu, marszałkowi powiatu zaleszczyckiego. Owóż zwracamy uwagę tego pisma, że śp. Leon ks. Sapieha w ostatniej kadencyi posłem sejmowym nie był i przez śmierć jego żaden mandat poselski nie został opróżniony.

Z teatru Oprócz wymienionych przez nas przed kilku dniami artystek i artystów ustąpili ze sceny naszej pp. Kliszewscy, Myszkowski i Laskowski P. Fiszer, jak donoszą pisma warszawskie, udaje się do Chicago, gdzie występować będzie ze znakomitymi swymi monologami. *Kuryer stanisławowski* donosi, iż p. Szobert przenosi się do Stanisławowa do teatru p. Kwiecińskiego. Pani Kliszewska została zaangażowaną do Warszawy. P. Jerzyna podpisał kontrakt z dyrekcyą i pozostaje we Lwowie.

Dyrekcya teatru zaangażowała do operetki tenora p. Karpińskiego. Panna Praunówna przenosi się z dramatu do operetki.

Z górnictwa. Starostwo górnicze w Krakowie opracowało nowy projekt przepisów górniczo-policyjnych dla kopalń nafty i wosku i udzieliło go do zaopiniowania krajowemu Towarzystwu naftowemu w Gorlicach, nie chcąc w sprawie dotyczącej ogółu górników postanawiać cośkolwiek bez zasięgnięcia ich uwag. Wczoraj odbył się w jednej z sal Wydziału krajowego zjazd dwunastu delegatów okręgów górniczych galicyjskich, który rozpatrywał przedłożony sobie projekt i zaproponował kilkanaście zmian i poprawek. Zmiany mają głównie na celu przyniesienie ulgi drobnym przemysłowcom górniczym. Obrady nad tym przedmiotem trwały do późnej godziny. Dalszy ciąg obrad odbędzie się około 20 b. m. w Gorlicach lub Krośnie. Przy sposobności podnoszono także niektóre myśli, mające na celu zapewnienie należnego stanowiska żywiołowi rodzimemu w galicyjskiem górnictwie.

Raut. W sobotę 14 kwietnia odbędzie się raut w kasynie miejskiem. Początek o godzinie 8 wieczorem. Dla panów strój balowy.

Zgromadzenie tygodniowe Tow. politechnicznego we Lwowie odbędzie się we środę dnia 12 b. m. o godz. 6 wieczorem

Gospody szynkarskie. Na ostatniej sesyi uchwalił Sejm wezwanie do Dyrekcyi gal. funduszu propinacyjnego, ażeby przy wydzierżawieniu uprawnień szynkarskich, starała się w oznaczeniu warunków, jak niemniej także w wyborze osob stości dzierżawców dążyć do stopniowej zmiany typu szynków i karczem w naszym kraju w gospody schludne i przyzwoite dl. moralnego i materyalnego stanu ludności nie szkodliwe.

Na powyższą rezolucyę sejmową otrzymał Wydział krajowy odpowiedź, iż ze względu na ustawę z dnia 22 kwietnia, która w §. 3 określa ściśle zakres działania władzy, dyrekcya funduszu propinacyjnego zaledwie w małej części może zadosyć uczynić intencyom zawartym w rezolucyi sejmowej

Na mocy tego paragrafu bowiem leży w zakresie dyrekcyi tylko prawo wolnego wyboru osobistości na dzierżawę prawa propinacyi, tudzież możność kontraktowego unormowania stosunku dzierżawnego pod względem wykonywania tego prawa, że zatem przy wyborze osób dzierżawców stara się oddawać w dzierżawę propinacyę poprzednim właścicielom tego prawa, baczy na interesa właścicieli browarów, gorzelń, większych destylarń i tym przy równych warunkach innych oferentów daje pierwszeństwo.

Co się tyczy samego wykonywania prawa propinacyi, to zastrzeżone jest w §. 5 prawo władz politycznych cenzurowania osobistości przyjmowanych przez dzierżawców na szynkarzy i przestrzeganie przepisów mających na celu położenie tamy opilstwu i lichwie, wreszcie co do wyglądu lokalności do wyszynku służących, a zatem, że wszystkie te okoliczności usuwają się z pod wpływu dyrekcyi funduszu propinacyjnego. Dyrekcya funduszu propinacyjnego zapewniła w końcu Wydział krajowy, iż gotową jest działać jak dotąd w duchu rezolucyi sejmowej, lecz co się tyczy ustępu tej rezolucyi w którym jest mowa o stopniowej zmianie ogólnego typu szynków i karczem w naszym kraju, jest zdania, iż czynność tą należy pozostawić decyzyi władz ustawodawczych, do których zakresu kwestye te należą.

W Brodach zajmują obecnie umysły wszystkich dwie sprawy. Pierwszą jest wybór burmistrza. Niektórzy są zdania, by wybór burmistrza zostawić aż do nowych uzupełniających wyborów, ale zastępca burmistrza p. Kulak nie zgada się na to, gdyż za wielki ciężar w obecnym czasie spadłby na jego barki; zdaje się więc, że w najkrótszym czasie nastąpi wybór „głowy" miasta. Między kandydatami wyliczają pp. Kulaka, Janiszewskiego, H. Kapelusza i Kolischera.

Drugą sprawą jest zachowanie się księży ruskich z Zabłociec na pogrzebie śp. Mikołaja Łotockiego, ucznia ósmej klasy gimnazyalnej. Póki koledzy zmarłego śpiewali ruskie pieśni, odbywał się smutny obrzęd w porządku, gdy jednak zaśpiewano także polską pieśń kościelną, uczuł się tem urażony tak ks. Dawidowicz z Brodów, jak i ks. Derlica, wikary zabłotecki. Obaj kapłani nie wytrwali nawet do końca w przyzwoitym spokoju, bo gdy po ruskiej przemowie ucznia Potopnyka, przemówił także kolega zmarłego Missona po polsku, rzucił ksiądz Dawidowicz, przewodniczący obrzędu, łopatą w ziemię i nie rzuciwszy na grób grudki ziemi, oraz nie zaśpiewawszy „Wicznaja pamiat", uciekł z wikarym ks. Derlicą z cmentarza. Taki postępek ruskich księży, z których jeden, ksiądz Dawidowicz, jest katechetą w gimnazyum brodzkiem, dotknęło niemile nietylko rodzinę śp. Łotockiego, ale i wszystkich spokojnych ludzi, a bardzo złym przykładem zgody polsko-ruskiej jest dla kolegów zmarłego, uczniów gimnazyalnych.

Hendygiera odstawiono w sobotę z więzienia krakowskiego do zakładu karnego w Wiśniczu.

Defraudacya. *Pogoń* donosi, iż w Tarnowie aresztowano ekspedytora pocztowego Józefa Węgrzynowicza, liczącego 19 lat. Przy sortowaniu listów zabierał on zwykle listy nadeszłe z Ameryki, wybierał z nich pieniądze, a listy rzucał do stawu. Manipulacye jego odkryto dopiero przed kilku dniami

Cholera. W Kudryńcach zachorowała w sobotę jedna osoba, w niedzielę zaś dwie. Jedna umarła. W leczeniu pozostaje 10 osób.

Na tyfus we Lwowie zachorowało ogółem 211 osób, przeważnie na ulicy Łyczakowskiej i Franciszkańskiej. Od kilku dni nikt więcej nie zachorował i epidemia z dniem każdym słabnie.

Lwowska stacya ratunkowa. Wczoraj znany filantrop dr. Jaromir br. Mundy, sekretarz i założyciel ochotniczego Towarzystwa ratunkowego w Wiedniu, oddawał p. prezydentowi Mochnackiemu jako gospodarzowi miasta nowo urządzoną i wyposażoną przez wiedeńskie Towarzystwo stacyę ratunkową.

Pierwszy impuls do jej założenia dał radny miejski dr. Stroynowski. Rada wniosek jego uchwaliła i postanowiła w zasadzie utworzyć taką stacyę, ale sprawa ta nie wyszłaby tak prędko ze sfery projektów, gdyby nie pomoc wiedeńskiego Towarzystwa. Na pierwszą wieść o zamiarze lwowskiej reprezentacyi dr. Mundy ofiarował swe usługi i przybył nawet osobiście do Lwowa, aby urządzić tę stacyę. Przybory ratunkowe darowane miastu naszemu przez wiedeńskie Towarzystwo przedstawiają wartość przeszło 10.000 złr.

Stacya mieści się w dwóch pokojach w gmachu ratuszowym w parterze od strony ulicy Dominikańskiej i Grodzickich. Za kilka dni będzie ona oddaną do publicznego użytku i utworzony będzie do niej osobny wchód wprost z Rynku. Czerwona latarnia z napisem „L. T. R." (lwowskie Towarzystwo ratunkowe) w dzień i w nocy wskazywać będzie jej lokal, tak, że szukający pomocy nie będą błąkać się po korytarzach gmachu ratuszowego, lecz wprost z ulicy będą mogli wejść do stacyi.

Pierwszy pokój, który jest zarazem kancelaryą i poczekalnią dla lekarzy i pełniących służbę ich pomocników, zawiera szafy z bandażami, lektyki do przenoszenia chorych, łóżka przenośne i operacyjne, szafki z narzędziami chirurgicznemi, położniczemi, wzierniki i mnóstwo innych rzeczy.

Prawdziwe bogactwo przeróżnych przyrządów, środków lekarskich i t. d. mieści się w pokoju drugim, uposażonym zupełnie na wzór takich pokoi urządzanych przez dra Mundy'ego w innych miastach monarchii austryackiej, w których istnieją Towarzystwa ratunkowe. Mamy tam szafy z bandażami, szarpiami, szynami i innymi przyborami potrzebnymi do pierwszej pomocy przy nieszczęśliwych wypadkach, skaleczeniach, złamaniach nogi lub ręki itp. Szafy te wyposażył dr. Mundy tak obficie, że znajdujące się w nich przybory wystarczą na cały rok, gdyby nawet stacya musiała bardzo często funkcyonować w nieszczęśliwych wypadkach. Dalej widzimy walizki z przyborami. Malutkie to walizki, a zawierają wszystko, czego potrzeba dla niesienia pierwszej pomocy. Nie zapomniano o niczem. Obok leży kasetka zawierająca antidota przeciw truciznom. Wóz ratunkowy wezwany na pomoc zawsze zabiera z sobą walizkę z przyborami i kasetkę z antidotami Kasetka, chociaż maleńka, zawiera antidota na wszystkie trucizny. Ułatwia przeto wielce zadanie lekarzowi, mając bowiem do czynienia z samobójcą, który usiłował pozbawić się życia przez zażycie trucizny, nie potrzebuje dopiero posyłać po antidota do apteki i przez oczekiwanie na nie opóźniać ratunku, lecz wprost sięgnąwszy do kasetki, znajdzie odpowiedni lek, aby unicestwić działanie zażytej trucizny. Oprócz tego w kasetce tej znajduje się pompa żołądkowa i obcęgi do otwierania ust tym samobójcom, którzy albo nie chcą, albo z powodu kurczów nie mogą otworzyć ust i zażyć antidotum.

Nie zapominał także dr. Mundy, iż czasami należy nieść pomoc obłąkanym. W szafie znajdujemy przeróżne przyrządy służące do ich transportu, prześcieradła, pasy, kaftany, które nakłada się furyatom itd.

W rogu pokoju stoi apteczka zaopatrzona we wszelkie lekarstwa i przybory. Oprócz tego, znajdujemy w niej mnóstwo przyrządów chirurgicznych, wykonanych jak najmisterniej i najdokładniej z glinu (aluminium). Między innymi przyborami znajduje się lampka elektryczna. Wielkości zwykłej, małej, ręcznej latarni, zawiera w sobie elementa wytwarzające prąd elektryczny i akumulatory, a za pociśnięciem guziczka, malutki drucik platynowy rozżarza się i rzuca naokół snopy światła elektrycznego, stosunkowo bardzo silnego. Akumulatorom elektryczności dostarczają elementa płynne. Lampka taka palić się może bez przerwy przez 8 godzin. Po tym czasie gaśnie i musi być napełnioną na nowo odpowiednim płynem, któryby znów dalej wytwarzał elektryczność i światło.

Lampki takie mogą oddać wielkie usługi i powinny znaleść zastósowanie w górnictwie. Przy używaniu ich bowiem wykluczonem byłoby niebezpieczeństwo zapalenia się nagromadzonych gazów i uniknętoby przez to bardzo wielu nieszczęśliwych wypadków; ale niestety, lampki te kosztują po 180 złr. i wyrabiane są tylko w Londynie. Ludzie bogaci w Anglii, zaprowadzili je przy swoich powozach.

W końcu znajdujemy w tym pokoju dwa łóżka operacyjne, sporządzone według najnowszych przepisów i wymagań higieny i chirurgii, paczki zawierające instrumenta, bandaże, szarpie i wiele innych przedmiotów.

Nadto przywiózł dr. Mundy z sobą 6 gołębi pocztowych, które ułatwiać będą porozumiewanie się między główną stacyą centralną a jej filiami, lub też między stacyą centralną, a wozem ratunkowym, wezwanym na pomoc po za Lwów, gdzie już nie ma komunikacyi telefonicznej. Wówczas gołębie utrzymywać będą związek i przenosić rozkazy, wyjaśnienia i t. d. Każdy z gołębi ma swój numer i nazwę. Dodać należy, iż dr. Mundy bandaże, szyny, szarpie, watę, niektóre środki lekarskie i przybory kancelaryjne zakupił we Lwowie, u naszych kupców.

Naczelnikiem stacyi jest dr. Edward Stroynowski, a do służby w niej zgłosili się pp. lekarze: dr. Dekański, Helmann, Frankowski, Krygowski, Legeżyński, Pappeé, Selzer, Sokal, Stahlberger, Urich i Zawadil.

Oprócz tego nocną i dzienną służbę pełnić będą tam uczniowie lwowskiej szkoły weterynaryi, którym nauki, jak mają nieść pierwszą pomoc, udzielał asystent dra Mundy'ego, lekarz wiedeński dr. Oransz.

Na podwórzu ratuszowem znajdują się dwa wozy ratunkowe, jeden przeznaczony do transportu osób chorych na zakaźne choroby, drugi zaś do przewożenia osób dotkniętych nieszczęśliwemi wypadkami. Pierwszy wóz już oddaje wielkie usługi i był wielokrotnie używany do transportu osób chorych na tyfus z mieszkania do szpitalu.

Drugi wóz może wygodnie pomieścić dwóch chorych. Urządzenie jego jest bardzo praktyczne. Znajdują się w nim dwie lektyki, dające się bardzo łatwo wysuwać i wsuwać, na których można umieścić chorych i przewieźć ich z miejsca wypadku, na stacyę.

Całe to urządzenie odebrał wczoraj p. prezydent od dra Mundy'ego i serdecznie mu za to podziękował. Dr. Mundy oświadczył, iż jeszcze kilka dni zabawi we Lwowie, aby praktycznie urzędującym na stacyi uczniom weterynaryi pokazać, jak się ma postępować przy niesieniu pierwszej pomocy chorym.

Przez przyspieszenie otwarcia tej stacyi, dr. Mundy miastu niespożycie się zasłużył, i jak najszczersza należy się mu za to podzięka. Dr. Mundy w skromności swej wymawia się jednak od wszel-

134)

WIARUSY

POWIEŚĆ

WACŁAWA MASŁOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

I w duchu wciąż powtarzała ten wyraz, jak nieprzytomna, bo w jej skołatanej głowie zaczęły myśli całkiem się mącić. Łzy kręciły się w oczach

Lecz prędzej, niż pojąć mogła co to się stało, podchwycił ją pan Władysław, jak piórko, i z nią na ramieniu poszedł jeszcze raźniej. I dobrze zrobił!

Rotmistrz uderzył się ręką po czole, potem skoczył do Tyry i — taki śmiałek! — odrazu w pół ją objął. Lecz ona mu się wyrwała.

— Nie pozwalam! — rzekła zadyszanym głosem

— A ja o pozwolenie nie pytam! — odrzekł

I choć się wzbraniała, choć prychała na niego jak kotka, nic nie zważał, jeno podniósł ją i posadził na ręce.

— A co? — spytał z zadowolnieniem. — Prawda, że dobrze?

Ale ona patrzyła nań chmurnie, odpychając go od siebie rękami.

— Nic to! — pomyślał. — Oswoi się, a to grunt!

I okrutnie mu się chciało powiedzieć jej, że nie może inaczej być, tylko tak, że ona dla niego, a on dla niej, i że muszą razem żyć i tuzin tatarczątków wyhodować w Baklamiszkach. Ale się w język ukąsił.

— To nie ucieknie! rzekł w duchu. — Już ja w tem!

A tymczasem odetchnąwszy Anulka mówiła do pana Władysława:

— Pamiętasz w Białorzeczu?... Tak mnie przenosiłeś przez rowy i strumyki?... Ale teraz nie to... Ciężko ci.

— Ani trochę! Takbym szedł całe życie.

— Ile-to śmiechu wtedy bywało! — ciągnęła Anulka — Swawoliliśmy, puste dzieciaki! Jakie to wszystko dawne, inne, jak sen...

— Oj, nie jak sen, Anulko! Tem dawnem żyłem, jak oto korona tego świerku, co choć wysoko odrosła od ziemi, przecie jej sokami się żywi. Razem z końcem naszej wojny stanęło we mnie życie, urwało się, jak nożem ciął. Przyszła ostatnia niewola, ciągła męka ciała i duszy, lecz to był inny świat, ktory tamtego nie tknął w pamięci. Ale pierwszy wielki ból, naprawdę wielki poczułem, gdym ciebie obaczył obok Olgerodego.

— A mnie wtedy jak było!.. Żebyś wiedział!... Cóż miałam robić?!...

— Chciałem zaraz uciekać...

— Widzisz!... Et, niedobry jesteś!...

— Ale teraz, Anulko, już żaden Olgerode nam nie zamąci.

— O, żaden!... nigdy!...

— Moja ty perełko! Powiedz-że mnie cichutko: kochasz?

Anulka, przymknąwszy oczy, milczała.

— Nie powiesz?

Zarumieniła się Anulka, jak jutrzenka śliczna, i spojrzała mu w oczy.

— Przecie wiesz, — szepnęła.

— Wiem, wiem, moje ty szczęście! moja ty gwiazdko kochana!... Nie co było w Białorzeczu, ale późniejsze jest właśnie snem. Gdzie te cierpienia, gdzie te rozpacze? Ani śladu ich!.... Mój Boże! Wszystkoś mi zwrócił, wszystko nagrodził i jeszcze więcej dałeś!... Tak po strasznej burzy okręt z podartemi żaglami, ze złamanym sterem wpływa do cichej ostoi. Na zielonym brzegu widzą znękani żeglarze znajomych, krewnych, uśmiechniętych radośnie, wyciągających ręce na powitanie I już nikt na okręcie nie pamięta przebytych trudów, rozpaczy, cierpień, wszyscy rozpromienieni nadzieją, pewnością szczęścia Tak oto i z nami, prawda Anulko?

— Ufajmy w Bogu

Któż nie wygląda końca przeciwności i tego życzenia nie bierze za rzeczywistość, wtedy zwłaszcza, gdy uśmiech szczęścia rozbudzi wszystkie nadzieje! Jednak szczęście jest jak zalotnica: przyrzeczeń nigdy nie dotrzymuje w całości, a często uśmiechem wabnym pokrywa zdradę.

W trop za nimi szedł Olgerode z wyżłem Nachodką.

Las napełnił się głuchym szmerem. Ciągle słychać było niby jakieś szepty, rozsuwanie gałęzi, przebieganie; czasami coś brzękło, czasami rozległ się trzask suchej gałęzi i potem na chwilę robiło się cicho. Tak w gąszczu idzie naganka.

A jak przed nią uchodzą bystronogie jelenie, zatrzymując się z rzadka, aby podniósłszy głowy wysoko, w rozdęte chrapy wciągnąć powietrza, tak karawana, posuwała się cicho, ostrożnie i wyszła nareszcie na grzbiet góry. Tu wszyscy razem się zatrzymali. Niżej rosnący las leżał pod ich nogami, nie zasłaniając doliny, z której właśnie wyszli; widzieli więc ją jak na dłoni, z wązką smugą wody i z kozakami nad nią. Ale i ci kozacy zaraz ich spostrzegli, więc między nimi ruch się uczynił, wyciągali ręce, widocznie się naradzali, potem cała kupa cwałem pomknęła w bok, aby górę okrążyć, i właśnie tak sunęła się po ziemi ciemną plamą, jak nikły cień chmury, pędzonej wichrem.

A tymczasem w lesie szmer się zwiększył, przybliżył, zmienił się w łomot.

Obie kobiety pobladły ze wzruszenia, wstrząsały się nerwowo; Chas kręcił głową, wydymał tłuste wargi i powtarzał złamanym głosem:

Będzie samotrzask, będzie! A nie mówiłem? Niech-że to pioruny zatrzasną!

Oczy wszystkich zwróciły się na pana Władysława, który rzekł spokojnie:

— Rozkiełznać konie! Popuścić im rzemienie!

I zdjąwszy szłyk, ocierał czoło. Niektórzy spojrzeli nań ze zdziwieniem; w oczach Anulki błysnęło przerażenie, ale oparłszy się o ramię pana Władysława, zaraz się uspokoiła; Tyrze było już wszystko jedno, bo strasznie była przybita, rozżalona na siebie, na świat cały, że obcy mężczyzna niósł ją na rękach. Ale właśnie ów mężczyzna był dlatego rozpromieniony, jak samo szczęście, i tak mówił do Wabrama:

— A co, stary? Śliczna pozycya! Możnaby tu wytrzymać szturm całej dywizyi.

— Czemu nie! — odparł ataman. — Wytrzymamy, jeśli będzie rozkaz.

Ale tłusta twarz Chasa, który to słyszał, odrazu krwią się nalała; parsknął gniewnie, potem zaczął się macać: śni, czy na jawie słyszy?

— Nie porywaj się kotku na niedźwiedzia! — mruknął.

Spojrzał na Harunów, ale oni jak w tęczę patrzyli na pana Władysława, więc odwrócił się, splunął i rzekł z oburzeniem:

— Cymbały!!

Lecz pan Władysław nie myślał czekać Olgerodego, jeno chciał, aby konie wytchnęły, bo z doświadczenia wiedział, że po takiem gramoleniu się na górę, one nie pójdą ochoczo w dół, a właśnie teraz prawie stroma ścieżka spadała z grzbietu w głęboki wąwóz, ocieniony drzewami.

Po chwili tedy dał znak — i karawana ruszyła. Lecz teraz droga była jeszcze trudniejsza, niż przedtem. Na ślizkich głazach, pokrytych mchem wilgotnym, konie potykały się i padały nieraz tak ciężko, że się długo podnieść nie mogły. Czasem trzeba było kłaść się na ziemi i pełznąć, ciągnąc za sobą konie, które opierały się, przysiadały na tylnych nogach i z przerażeniem w oczach patrzyły w przepaść. Czasem znowu zatrzymywali się nad urwiskiem, które czyniły ogromne głazy, wyrastające z góry jak długie garby, jak tarasy, jak płetwy u ryby; więc tu, zamiast w dół. trzeba było iść w poprzek góry, szukając przejścia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

kich owacyi, i twierdzi, iż uposażając lwowską stacyę, spełnił tylko swój obowiązek: niesienia zawsze pomocy nieszczęśliwym. Szczera podzięka i cześć tak zacnemu filantropowi i niech trudem jego założona stacya niesie biednym ratunek i ulgę i jedna mu błogosławieństwa nieszczęśliwych, którzy, dzięki jemu, ujdą nieraz śmierci lub ciężkiej choroby.

Od p. Sękowskiego, nowego posła ziemi tarnowskiej, otrzymujemy pismo, w którem nam donosi, że w sprawodaniu ze zgromadzenia przedwyborczego w Tarnowie, ogłoszonego w nrze 79 *Przeglądu*, zaszedł ten błąd, iż szanowny poseł mówił w ogóle o kierunku oświaty w naszych szkołach ludowych, a nie w szkołach rolniczych. Sprawy szkół rolniczych całkiem nawet nie poruszał.

Seminaryum duchowne w Kielcach zostało — jak donosi *Czas* — zamknięte na cztery lata. Siedmiu profesorów wywieziono do cytadeli warszawskiej. Krąży niestwierdzona dotąd pogłoska, że ks. Sawicki w drodze do Warszawy umarł w skutek paraliżu serca. Szesnastu alumnów zatrzymano jeszcze w Kielcach, a resztę wydalono. Gubernator kielecki Iwanenko udał się do Warszawy, gdzie podobno ma się starać o przyznanie pewnej kwoty na utrzymanie stałej asysty dla biskupa kieleckiego podczas nabożeństw.

Z Czerniowiec piszą nam: Zakres działania niedawno utworzonego w mieście naszem konsulatu rumuńskiego zostanie wkrótce rozszerzonym, gdyż ma być mu powierzonem zastępstwo interesów rumuńskich także na Galicyę.

Z obawy przed zawleczeniem cholery rząd Rumuński poczynił od strony granicy galicyjskiej różne zarządzenia, wskutek czego zarząd kolei państwowych na Bukowinie musiał powstrzymać przejazd podróżnych do Rumunii pociągami nocnymi.

Bezpieczeństwo w Czerniowcach pozostawia wiele do życzenia, napady w okolicy miasta, a nawet w mieście nie są rzadkością. W drugi naprzykład dzień Wielkanocy, towarzystwo złożone z czterech osób wyszło na przechadzkę do podmiejskiego lasku, w powrocie napadło ich trzech uzbrojonych drabów, którzy nożami i pałkami poranili sinie spacerowiczów. Napastników zdołano wykryć i pochwycić.

Inneg brutalnego napadu dopuściło się pięciu żołnierzy 41 pp., którzy we czwartek wieczorem napadli na ulicy jakąś dziewczynę, zakneblowali jej usta, skrępowali ją i tak się nad nią znęcali, że jest obecnie ciężko chora.

Biali murzyni. *Gazeta kołomyjska* w nrze 25 z dnia 5 bm. zamieściła następujący artykuł:

Powracający z Rumunii robotnicy opowiadają rzeczy takie straszne a zarazem wsrętne, że dziwimy się prawdziwie, w jaki sposób się to dzieje, iż po tem wszystkiem, po tylu doświadczeniach bolesnych, są jeszcze wśród naszych włościan setki takich, którzy idą na lep pokątnych ajentów i nie zabezpieczywszy się zgoła niczem przed niesumiennością tych wyrafinowanych oszustów, udają się do Rumunii na robociznę. Oto wiązanka faktów; mamy je z pierwszego źródła, bo od człowieka, który własnemi oczami na nie patrzał.

Icek Pomper z Kołomyi jest jednym z najruchliwszych dostawców towaru ludzkiego do Rumunii. Przed kilku miesiącami — opowiada Dawid Aronowicz z Jass — umówił się Pomper z Kostakim Angelidim, pełnomocnikiem właściciela dóbr w Rumunii Eugeniusza Filipescu, że za umówioną cenę 150 zł. do robót w lesie Poeni obok Jass dostawi dwie piły czyli dziesięciu ludzi. W rzeczy samej handlarz towaru ludzkiego dotrzymał umowy, albowiem dostawił w oznaczonym terminie zgodzonych w Kluczowie wielkim i Rungurach robotników do Jass i oddał ich Kostakiemu Angelidiemu. Gdy, przenocowawszy pod strażą, robotnicy zapytali Angelidiego o warunki i zażądali zaliczki, dowiedzieli się, że Pomper pobrał już całomiesięczną należytość. Poczęto szukać oszusta i oto pokazało się, że on jeszcze w nocy ulotnił się, a wraz z nim i paszporty jego ofiar. Nastąpiła teraz bardzo zwykła w Rumunii scena. Chłopi oszukani przez żyda nie chcą udać się na robotę do lasu; nowy ich pan używa argumentów najwymowniejszych i będących tu najbardziej w użyciu, tj. pięści i harapa. Naturalnie, że biedni ulegli przemocy i musieli odrobić to, co wziął za nich sprytny oszust. Ale ofiarom udało się przedtem uwiadomić o całej sprawie konsulat austryacki w Jassach, który zapewne upomni się o krzywdę poddanych austryackich i zażąda ukarania winnych.

Takich ajentów pokątnych, trudniących się dostawą robotników do Rumunii, mamy w Kołomyi i na Pokuciu cały legion.

Onegdaj Abraham Aszkenazy i Kalman Peisach z Luczy obowiązali się dostarczyć stu robotników pewnemu Grekowi do Tutowy. Robotników tych zamówili oni częścią u Mojżesza Lajby Koppelmana z Pistynia, który ich zebrał w Utoropach, częścią zaś u Srula Feigera z Szeszor i Akreszor.

Ten handel ludźmi, bardzo intratny dla ajentów, prowadzi się za wiedzą władzy, która ze skwapliwością dla nas wprost niezrozumiałą wydaje paszporty każdemu ajentowi. Okoliczność ta jest tem dziwniejsza, że u nas wydanie paszportu osobom w innym celu za granicę się udającym połączone jest z trudnościami i stratą czasu. Sprawa ta ma także swą stronę odwrotną. Jak z jednej strony ajent pokątny nie daje robotnikowi najmniejszej gwarancyi, że pracodawca dotrzyma warunków umowy zawartej przez ajenta, tak znowu z drugiej strony pracodawca sam przyjąć musi takich robotników, jakich mu ajent posłał. Ajentowi nie zależy wcale na kwalifikacyi dostarczanych robotników; on przecież wziął prowizyę na pewną z góry umówioną liczbę robotników i nie troszczy się wcale o ich los, ani też o to, co z nimi robić będzie służbodawca. Często do robót w lesie ajent taki posyła ludzi, którzy piły jeszcze nie mieli w ręku, i przeciwnie wyrobników dziennych, drwali itp. posyła do robót polnych. Jako ilustracyę tych stosunków podajemy następujący fakt, za prawdziwość którego ręczymy. Jeden z rumuńskich służbodawców pisze nam:

„Dnia 14 stycznia rb. zgodziłem na robotę Wasyla Morisaka, Jura Zeleniuka, Petra Jackowa, Andreja Kliczewskiego ze Stopczatowa i Petra Pyłypczuka z Jabłonowa, a dawszy im 580 franków zaliczki, wziąłem od nich paszporty na zabezpieczenie przyjętych przez nich zobowiązań. Z nimi razem przybyli dwaj wyrostki w wieku 15 i 13 lat, rzekomo brat i syn Wasyla Morisaka. Po kilku dniach Morisak zażądał odemnie swego paszportu, gdyż interes ważny i niecierpiący zwłoki wzywa go do kraju. Obiecywał za kilka dni powrócić. Jakoż po kilkodniowej nieobecności wrócił, ale tylko po to, żeby nazajutrz znowu zniknąć i to razem ze swymi towarzyszami. Pozostawiono mi tylko paszporty i dwóch wyrostków, którzy zapytani zeznali, że pochodzą wprawdzie ze Stopczatowa, ale nie są wcale krewnymi Wasyla, który ich bez wiedzy ich opiekunów do opuszczenia kraju namówił. Dzieci te zowią się: Dymitr Leonak i Aleksy Kanarczuk a pochodzą ze Stopczatowa. Nie mają rodziców, tylko opiekunów, i bez ich wiedzy opuścili kraj rodzinny. Sprawę samowolnego opuszczenia Rumunii i niedotrzymania warunków umowy przez robotników galicyjskich oddałem razem z paszportami konsulatowi austryackiemu, który mi obiecał poczynić potrzebne kroki. Czy one co pomogą, nie wiem; to wszelako jest pewnem, że podobne sprawki nie powtarzałyby się tak często, gdyby władze nie patrzały na to przez szpary, kto dostarcza robotników i baczniejszą zwróciły uwagę na pokątnych ajentów."

Zmarli. Hugo Pfisterer, były auskultant sądowy, zmarł w Kłaju pod Bochnią w 27 roku życia. Zmarły odznaczał się wybitnemi zdolnościami, ale długa a ciężka choroba, która w kwiecie wieku podkopała jego siły, nie dozwoliła im rozwinąć się w pełni. Dotknięty cierpieniem gruźliczem, od lat siedmiu pasował się z zabójczą niemocą, wkońcu zaś, przed rokiem, porzuciwszy mozolnie zdobyte stanowisko, gasł zwolna, bez nadziei wyzdrowienia, w oczach rodziny, której był ulubieńcem. Zmarły posiadał także niepośledni talent poetycki, a wiersze swoje, naprzemian rzewne, to znów iskrzące się werwą i humorem, drukował w czasopismach pod rozmaitemi pseudonimami. Cześć jego pamięci!

Co można znaleść w pieprzu? Odpowiedź na to pytanie daje zarządzający sanitarną stacyą w Kijowie, p. Rajkiewicz, w raporcie do komisyi sanitarnej, sporządzonym na podstawie analizy 46 paczek tłuczonego pieprzu, dostarczonego z różnych sklepików kijowskich. Otóż znaleziono w owym tak zwanym „pieprzu": mąkę z różnych strączkowych roślin, różne nasiona, różne otręby, mielone żołędzie, makuchy, mielone oliwkowe pestki, mielone skorupy orzecha, drzewo ze skrzynek, w których sprowadzają się towary z Japonii (drzewo kamforowe), mielone odłamki rogowe, opiłki drzewne, korę drzewną, proszek torfowy, ziemię, glinę, gips i wiele innych ingredyencyi. Z takim pieprzem sosy tak zwane *sauces piquantes* muszą być bardzo smaczne!

Słówko o brodzie. Rozpowszechniona między narodami romańskiemi moda golenia brody z pozostawieniem z zarostu na twarzy wąsów tylko i t. zw. hiszpanki pochodzić ma z Hiszpanii. Gdy w VIII wieku po Chr. Islam zalał półwysep Pirenejski, przyszło wnet do ogólnego niemal zmieszania się rasy arabskiej z miejscową. Zachowała się jednak w pełni odrębność religijna. Tak mahometanie, jak i chrześcijanie, a zwłaszcza ci ostatni, starali się bodaj sztuczne wytworzyć cechy, któreby ich od inowierców dzieliły. Ponieważ wyznawcy islamu uważali brodę za jeden z darów Ałłaha, chrześcijanie przeto pozbyli się jej, a zachowali jedynie wąsy i hiszpankę, pewni, że mahometanie naśladować ich w tem nie będą. Sposób ten noszenia zarostu był nadto rodzajem symbolu wiary, przedstawiał bowiem niejako niepełny kształt krzyża.

Stan powietrza. Termometr — 1° Reaumura o godzinie 7 zrana, » w południe + 13° Reaumura. Barometr 763. Spada. Dzień prześliczny, pogodny, ciepły.

Przy oświadczynach.

— Panie! Kocham pańską córkę. Życie bez niej jest dla mnie piekłem.

— A ile pan dobrodziej pobiera pensyi?

— Czterdzieści papierków miesięcznie.

— Hm.. W takim razie życie z moją córką będzie dla pana piekłem... dubeltowem.

Teatr. Dziś we wtorek „Barbara Radziwiłłówna", opera Jareckiego. — Jutro we środę: „Pan Poseł", komedya w trzech aktach Adolfa Abrahamowicza.

Literatura i Sztuka.

* **Z teatru.** („Pan Poseł", komedya w 3 aktach Adolfa Abrahamowicza).

Komedyą tą usiłował autor, obracający się dotychczas wyłącznie w sferze farsy, wejść na pole komedyi poważnej. Natura talentu p. Abrahamowicza, umiejącego podchwytywać pewne komiczne rysy charakterów ludzkich, bez wdawania się w głębszą ich analizę, oraz długoletnia praktyka w kierunku lekkiej farsy, wyrobiły w nim pewną metodę, której znamienne cechy widać i w „Panu Pośle". Autor znalazł pomysł nadający się zupełnie do wyższej komedyi, ale do obrobienia go przystąpił z lekkiem piórem farsisty. Pomiędzy zasadniczą tezą sztuki, a jej opracowaniem scenicznem, uczuwać się daje pewien rozdźwięk. Bardzo bowiem niejednolite, a w końcu ujemne wrażenie odnosi widz, mający przed sobą owego posła, naprzód człowieka bardzo pospolitej miary, wyśrubowanego do godności reprezentanta narodu w parlamencie; — później niedołęgę karyerowicza, który marzy o jeszcze większych zaszczytach, a jednak tej żądzy karyery niczem a niczem nieusprawiedliwia, nic dla jej zdobycia nie robi, prócz tego, że daje obiady. Nawet bardzo pobieżna analiza psychologiczna postaci „pana posła" musi wykazać, że do traktowania na seryo, jako przedmiot satyry politycznej nadawać się ona nie może. Jeżeli Topolewski był przez dwadzieścia lat marszałkiem powiatowym, jeżeli położył pewne zasługi (o czem na scenie wiele się mówi), jeżeli pozyskał zaufanie wyborców tak niepodzielne, że jednogłośnie wybierają go posłem, to przecież musi być rozumnym. Tymczasem już w drugim akcie przedstawia nam go autor jako człowieka tak ograniczonego, że niepodobna przypuścić, ażeby taki człowiek mógł przez 20 lat imponować ludziom choćby niewiedzieć na jakim partykularzu w Galicyi. W końcu spotyka go katastrofa, nadzieje jego rozwiewają się, ale katastrofa ta nie czyni na widzu najmniejszego wrażenia, nie daje mu satysfakcyi moralnej. Widz miałby zadośćuczynienie, gdyby Topolewski dopuścił się był czegoś zdrożnego, gdyby kierując się przewrotnym sposobem myślenia, nad użył zaufania wyborców i swego stanowiska w celach osobistych. On jednak nie robi zgoła nic, a czyż tak bierna natura i tak pozioma inteligencya może być przedmiotem komedyi satyrycznej, i w ogóle satyry? Topolewski zmienia wprawdzie — niby to — przekonania polityczne, przechodzi z obozu postępowego do konserwatystów, ale ta metamorfoza rzekoma nie ma siły przekonywującej widza, obeznanego cokolwiek tylko ze sprawami politycznemi. O taki nieszczególny nabytek, jak Topolewski (a przynajmniej taki jak on na scenie się przedstawia) obóz konserwatywny, „który wie czego chce" (jak się sam autor wyraża) pewnoby nie czynił zabiegów przy wyborach. A z drugiej strony, gdybyśmy przypuścili, że chciałby go pozyskać i zatrzymać, ażeby użyć jako pionka przy głosowaniach, w takim razie, znając słabe strony pana posła, pewnoby zaspokoił jego ambicye na punkcie tytułu choćby hrabiowskiego, zwłaszcza, że Topolewski może mieć skąd inąd, na podstawie rodowodu swego, uzasadnione pretensye. W trzecim akcie wreszcie schodzi „pan poseł" już zupełnie na poziom figury ze zwykłej farsy, niemal w stroju arlekina, bez najmniejszej cechy „upadłej wielkości".

Podobnie jak główna postać, tak i figury otoczenia, w którem się „pan poseł" obraca, przedstawione są w tem świele, w jakiem tylko umysł pisarza farsy widzieć i chwytać je może. Ludzie ci mają prawie wszyscy jednę cechę: — bardzo niską inteligencyę. Rywal Topolewskiego na polu zaszczytów, Kropkowski jest skończonym idyotą. Baron jest lekkoduchem, a przytem również niemiłosiernie głupim. Podobnież młody szlachcic Grzymała, „płuczący" się od czasu do czasu za poradą barona w Monte-Carlo, przedstawia typ skończonego głupca. Postacie, mające cokolwiek lepiej w głowie, stoją w sztuce na drugim planie, odznaczają się prawie zawsze biernością.

W interpretacyi Topolewskiego przez p. Fiszera rysy jego karykaturalne powiększone zostały do rozmiarów, w komedyi chyba niemożliwych. Artysta, jakby umyślnie starał się wydobyć na jaw wszelkie błędy psychologiczne w tej figurze nagromadzone, i dał oczywiście postać chybioną, jakiej nawet autor może nie miał na myśli. Również i przedstawiciele ról innych traktowali rzecz więcej jako farsę, aniżeli jako poważną komedyę; widocznie duch w niej taki wieje i oni duchowi temu dali wyraz. *R. P.*

* **Z teatru.** Wczorajsze przedstawienie na rzecz towarzystwa bratniej pomocy artystów naszej sceny, zawierało w części dramatycznej drugi akt pseudoklasycznej tragedyi Wilbrandta Arrya i Messalina". Pani Żelazowska, przedstawiając Messalinę, odegrała wielką scenę z Markiem (p. Żelazowskim) z siłą i uczuciem, które jednak chwilami przechodziło w przesadną afektacyę. Następnie poznaliśmy rzecz nową: jednoaktową humoreskę sceniczną pt. „Dzieci muzy" napisaną przez Domnika. O ile nam wiadomo, kryje się pod tym pseudonimem jeden z utalentowanych artystów sceny krakowskiej. Rzecz jest napisana z werwą i humorem. Scena przedstawia pracownię dwóch biednych malarzy, dorabiających się dopiero sławy i... mamony. Zima, — malarze pracują w nieopalonej pracowni, nie tracą jednak fantazyi i dobrego humoru, zwłaszcza, że w towarzystwie jest jeszcze rzeźbiarz i poeta. Dowcipy na temat niedoli artystycznej, sztuki, krytyki i t. p. sypią się jak z rękawa, a teatr trzęsie się od śmiechu. Przychodzi jakiś mocno zacofany i mocno zabawny obywatel, zamawiający obraz św. Barbary do kościoła wiejskiego. Jeden z malarzy sprzedaje mu swoją „Ofelię": obywatel płaci zadatek, w artystów wstępuje nowe życie. W końcu przychodzą dwie panie, z których młodsza, urodziwa panienka jest jak się następnie pokazuje, upatrzoną przez krewnych jednego z malarzy narzeczoną dla niego. Po nader zabawnych tłumaczeniach, dlaczego artyści cierpią głód i chłód (mianowicie, ażeby się wżyć w temat, n. p. w krajobraz zimowy, lub w „życie nędzarzy") matka panienki zaprasza młodego malarza do swego domu i oczywiście historya skończy się małżeństwem, dla malarza bardzo korzystnem, bo panna jest nietylko ładną i miłą, ale także bardzo bogatą. Humorystyczną tę farsę odegrano z wielką werwą. Szczególnie p. Trapszo z humorem niepospolitym odtworzył postać szczęśliwego dziecięcia muzy i... wybrańca fortuny. Wyborna „Sabałowa bajka" Henryka Sienkiewicza, (znana naszym czytelnikom) wygłoszona przez p. Fiszera w kostyumie Sabały, zakończyła program dramatyczny wczorajszego wieczoru. *(r.)*

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 11 kwietnia. Cesarz przyjmował wczoraj księcia bułgarskiego na audyencyi prywatnej.

Szósty pułk huzarów przyjdzie z Preszburga do Galicyi i zajmie załogi w Rzeszowie, Trzeszówce, Kolbuszowej i Sędziszowie, a czwarty pułk ułanów, stojący obecnie załogą w Jarosławiu, przyjdzie do Żółkwi.

Peszt 11 kwietnia. Na wczorajszem posiedzeniu sejmu w toku debaty budżetowej przemawiał minister obrony krajowej Fejervary i zbijał podnoszone przez opozycyę zarzuty, jakoby duch, którym ożywiona jest armia wspólna, był antinarodowym. W dalszym toku wykazywał minister, że konieczną jest rzeczą, aby oficerowie obrony krajowej znali dobrze język niemiecki, gdyż w razie mobilizacyi musi być zarówno w armii wspólnej jak i w obronie krajowej jeden język służbowy. To co jest dobrem w państwach jednolitych pod względem narodowościowym jak Niemcy lub Francya, nie da się zastosować do Węgier, które są konglomeratem tylu narodowości. Żaden z narodów monarchii austro-węgierskiej nie potrzebuje w tym stopniu oparcia o silną armię, co Węgrzy, bo ewentualna klęska armii austro-węgierskiej byłaby dla narodu węgierskiego taką samą klęską jak owa pod Mohaczem. W końcu zapewnił minister, że nie ma żadnej różnicy między duchem panującym w narodzie a duchem panującym w armii.

Peszt 11 kwietnia. Wczoraj wykonano tu zamach morderczy na prymasa Węgier ks. kardynała Vaszary'ego. Sprawcą zamachu jest b. piwniczny prymasa Csolics, którego niedawno oddalono ze służby. Zgłosił się on wczoraj rano do sekretarza prymasa dr. Kohla i oświadczył mu, że kilkakrotnie udawał się do dyrektora dóbr prymasowskich z prośbą o przyjęcie go napowrót do służby, ale bezskutecznie, dla tego chciałby on wręczyć ks. prymasowi osobiście swą prośbę. Kohl zaprowadził Csolicsa do prymasa, który odczytawszy prośbę odpowiedział, że musi naprzód zasięgnąć opinii swych urzędników i dlatego nie może na razie dać stanowczej odpowiedzi. Wtedy dobył Csolics ukrytego noża kuchennego i rzucił się z nim na prymasa. Kohl ujrzawszy to, pośpieszył na ratunek i chwycił zbrodniarza, który zwrócił się wówczas przeciw niemu i pchnął go nożem pięć razy. Na krzyk Kohla zbiegła się służba, rozzbroiła zbrodniarza i oddała go w ręce władzy. W policyi oświadczył Csolics z zimną krwią, że chciał się zemścić za to, iż go niesłusznie oddalono ze służby i że żałuje tego, iż nie zabił prymasa. Nadto zeznał Csolics, że gdyby mu się było udało zabić prymasa, wówczas byłby sobie sam gardło poderznął. Znaleziono przy nim rzeczywiście bardzo wyostrzoną brzytwę.

Dwie rany Kohla są ciężkie.

Wiadomość o tym zamachu rozeszła się lotem błyskawicy po całem mieście i w parlamencie. Arcyksiążęta Józef i Władysław, ministrowie Weckerle i Hieronymi, tudzież wielu magnatów i posłów na pierwszą wiadomość o tej zbrodni pośpieszyli złożyć prymasowi gratulacye z powodu szczęśliwego ocalenia.

Stan zranionego dr. Kohla jest bardzo niebezpieczny. Cesarz zapytywał telefonicznie o zdrowie prymasa i Kohla.

Praga 11 kwietnia. Na wczorajszem posiedzeniu sejmu odbyło się pierwsze czytanie przedłożenia rządowego w sprawie odgraniczenia okręgów sądowych, przyczem przyszło do bardzo burzliwych scen. Hr. Bouquoy wniósł, aby przedłożenie rządowe odesłano do komisyi gminnej. Dr. Schmeykal oświadczył, że zgadza się z wnioskiem hr. Bouquoy, jakkolwiek sprawa ta kwalifikuje się raczej do komisyi ugodowej. Herold nazwał przedłożenie niniejsze nową punktacyą odrzuconej ugody i atakował namiętnie rząd, staroczechów i szlachtę. Komisyę dla odgraniczenia okręgów sądowych nazwał mówca nielegalną i wniósł o odesłanie przedłożenia do specyalnej komisyi. Już podczas mowy Herolda panował w sali wielki hałas, zwłaszcza wtedy, gdy mówca atakował rząd, staroczechów i szlachtę. Wołano wtedy z ław młodoczeskich „podstęp", „oszustwo" itd. Hałas ten jednak wzmógł się, gdy głos zabrał dr. Rieger. Od pierwszej chwili przerywali mu młodoczesi. Gdy Rieger zaczął mówić, zawołał Vaszaty ironicznie „Oto jest serce czeskie." Rieger z oburzeniem odpowiedział „Tak jest, we mnie bije serce czeskie". Na ławach szlachty i staroczechów odezwały się huczne oklaski, a Vaszaty krzyczał: „Zapytaj pan naród czeski, a ten panu powie, o ile czeskiem jest serce pańskie".

W sali powstała teraz nieopisana wrzawa. Marszałek z wielkim trudem zdołał po kilku minutach przywrócić jaki taki spokój. Rieger rozpoczął swe wywody od tego, że każde przedłożenie rządowe należy odesłać do komisyi. (Na ławach młodoczeskich wołanie: „Nieprawda") Rieger zwrócony do młodoczechów rzekł: Dotychczas szaleliście przeciw punktacyom, wobec czego stronnictwo staroczeskie nie zgodziło się na reaktywowanie komisyi ugodowej, a dziś nagle wy sami domagacie się reaktywowania tej komisyi. Młodoczesi wołają, że nie chcą komisyi ugodowej, tylko zupełnie nowej komisyi. — Rieger: To na jedno wyjdzie. W dalszym toku swej mowy przerywanej ustawicznie przez młodoczechów, wspomniał Rieger, że podczas wiedeńskich konferencyi ugodowych nie myślał wcale o odgraniczeniu okręgów sądowych i oświadczył się przeciw ugodzie. — Wniosek hr. Bouquoy przyjęto, poczem młodoczesi demonstracyjnie wyszli z sali.

Belgrad 11 kwietnia. Wczoraj o godzinie 4 rano, dały się tu znów czuć wstrząśnienia ziemi, ale znacznie słabsze, aniżeli w sobotę. Z Kupriji, Jagodiny, Paraciniu i Swilajnacu donoszą, że i tam dają się czuć w pewnych odstępach czasu słabe wstrząśnienia. W Liwadicy rozstąpiła się ziemia podczas sobotniego wstrząśnienia, a z powstałej w ten sposób czeluści, wydobywa się do dziś ziemia i lawa.

Skupczyna na wczorajszem posiedzeniu przyjęła jednogłośnie wniosek komisyi weryfikacyjnej, uznający za ważny wybór 74 posłów. Resztę zaś radykalnych i obu postępowych posłów wezwano w myśl tego wniosku, aby do 24 godzin wrócili do skupczyny i zajęli swe miejsca, w przeciwnym bowiem razie powołani zostaną na ich miejsce ci kandydaci, których nazwiska umieszczone były na radykalnej liście wyborczej bezpośrednio po tych, którzy zostali wybrani, albo też rozpisane zostaną nowe wybory.

Następnie złożyli obecni posłowie przysięgę i w tajnem głosowaniu dokonano wyboru prezesa i dwóch wiceprezesów skupczyny. Prezesem wybrany został radzca stanu Ziwanowicz, otrzymawszy 68 głosów na 69 głosujących, pierwszym wiceprezesem wybrany został Piotr Nikolicz, a drugim Nikoła Stanojewicz. Po ogłoszeniu rezultatu skrutynium, objął Ziwanowicz przewodnictwo i ogłosił, że skupczyna jest ukonstytuowaną.

Lorient (w zachodniej Francyi) 11 kwietnia. Epidemia podobna do cholery wzmaga się tu coraz bardziej — wczoraj pochłonęła dziesięć ofiar.

Londyn 11 kwietnia. Wicekról Irlandyi wydał rozporządzenie, na mocy którego wolno przywozić broń i amunicyę tylko do Dublina, Belfastu, Corku i 14 innych portów irlandzkich. Nadto zastrzegł sobie wicekról zaprowadzić dalsze ograniczenia przywozu broni.

Paryż 11 kwietnia. *Journal des Débats* donosi, że Rosya pragnie wejść z Francyą w takie same stosunki handlowo-polityczne jak z Niemcami.

Paryż 11 kwietnia. Wynalazcy melinitu Turpinowi, odsiadującemu karę kilkuletniego więzienia za zdradzenie tajemnicy wyrobu tej materyi wybuchowej, ofiarowano wolność pod warunkiem, że po wyjściu z więzienia nie wyda więcej nikomu tego sekretu. Turpin nie chce jednak złożyć takiego przyrzeczenia, dopóki nie przywrócą mu utraconych przez zasądzenie praw obywatelskich. Zresztą utrzymuje Turpin, że nawet rząd francuski nie dochowywał ściśle tajemnicy jego wynalazku, że melinit sprzedawano mocarstwom, należącym do trójprzymierza, i że rząd sam ofiarował wyjawić tajemnicę wyrobu melinitu Rosyi. Francuskie towarzystwo, które wyrabiało melinit, sprzedawało go rozmaitym mocarstwom, tak samo jak w r. 1877 sprzedano Anglii rysunki armaty nowego wynalazku.

Do „Ajencyi Havasa" donoszą z Lizbony, że człowiek jakiś strzelił do króla w chwili, gdy król powoził faetonem. Królowi nic się nie stało, a sprawcę zamachu uwięziono.

Mons 11 kwietnia. Na wczorajszem zgromadzeniu robotników górniczych uchwalono rozpocząć natychmiast jeneralną bastówkę, pomimo, że przywódzcy prosili, aby decyzyę co do bastówki odroczyć do chwili, gdy parlament belgijski poweźmie decyzyę w sprawie rewizyi konstytucyi.

Chicago 11 kwietnia. Robotnicy zajęci około budowli wystawowych urządzili bastówkę z tego powodu, że władze nie zachowały się odpowiednio do umowy, podług której spory między robotnikami a pracodawcami załatwiać ma sąd rozjemczy.

Lizbona 11 kwietnia. Nieprawdziwem jest doniesienie dzienników jakoby jakiś człowiek strzelał do młodego króla. Zamierzył się on tylko kijem na faeton, którym powoził król i wydawał dzikie okrzyki, świadczące, iż nie był przy zdrowych zmysłach. Człowieka tego aresztowano.

Batawia 11 kwietnia. Dziś przybył tu arcyksiążę Franciszek Ferdynand d'Este na pokładzie statku „Cesarzowa Elżbieta".

Budapeszt 11 kwietnia. Jest nadzieja, iż dra Kohla, sekretarza ks. prymasa, będzie można utrzymać przy życiu. Książę prymas już od rana bawił przy jego łożu.

Przyjechali do Lwowa

dnia 11 kwietnia 1893.

HOTEL FRANCUSKI. Hrabia M. Piniński z Koszyłowic. J. Czaykowski z Pietniczan. J. Gołuchowski ze Streptowa. Z. Atteslander z Krakowa. B. Hirschberg z Berlina. S. Goldschmidt z Niemiec. R. Baller z Wiednia. J. Ordner z Wiednia. M. Soffer z Wiednia.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 11. Kwietnia godz. 2. min.

Akcye kred.	353·65	Gal. oblig. propinacyjne	96·80
Alpiny	56·—	Wied. losy	178·50
Kredyty węg.	415·—	Akcye tyton.	182·50
Anglobanki	156·50	Austr. renta p.	96·90
Uniony	268·25	Elbethale	242·50
Ludwiki	219·25	Länderbanki	260·10
Nordbany	296·—	Renta zł. węg.	116·05
Lombardy	117·15	Bankvereiny	127·80
Losy tureckie	52·50	Węg. renta p.	95·45
Staatsbahny	310·15	Ruble	1.26·25
Czerniowieckie	264·50		

Usposobienie silniejsze.

Lwów. Z Izby handlowej 11 kwietnia 1893.

1. Akcye za sztukę

wraz z kuponem bieżącym, bez dywidendy.

	płacą		żądają	
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. w. a.	218	—	221	—
„ Lwow.-czer.-jass. 200 zł. w. a.	262	—	265	—
Banku hipotecz. galic. 200 zł. w. a.	865	—	—	—
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	—	—	215	—
Listy zastawne za 100 zł.				
Banku hip. galic. 5% los. w lat. 40	101	—	101	70
Banku hip. galic. 5% z 10% pr.	110	—	110	70
Banku hip. 4½% wa. los w 50 lat.	100	—	100	70
Banku krajowego 4½% wa.	100	50	101	20
Tow. kred. galic. 4% I-sza emisya	98	—	98	70
„ „ „ 4 „ 41	97	—	97	70
„ „ „ 4½ „ 56 lat.	100	60	101	30
„ „ „ 5 „ 56 lat.	7	—	—	—
4. Oblig. za 100 zł.				
Galic. fund. propinacyjnego 4%	96	90	97	60
Bukow. fund. propin. 5% w. a.	102	—	—	—
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. II em.	102	—	—	—
Pożyczka kraj. 6%	104	50	—	—
„ „ 4½%	100	50	—	—
„ „ 4%	95	50	—	—
„ „ 4% koronna	95	60	96	30
5. Losy.				
Losy miasta Krakowa	23	—	25	—
„ „ Stanisławowa	35	—	39	—
6. Monety.				
Dukat holenderski	5.69		5.79	
Napoleondor	9.65		9.75	
Półimperyał rosyjski	9.75		—.—	
Rubel rosyjski srebrny	1.26—		.30—	
„ „ papierowy	1.24½		1·26½	
100 marek niemieckich	59.35		—60—	

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1 maja 1892 według zegara lwowskiego.

Przychodzą do Lwowa	p. posp.	p. posp.	p. osob.	p. osob.	p. osob.	p. miesz.
Z Krakowa	6^{01}	2^{50}	9^{0}	6^{46}	9^{32}	
Z Podwołoczysk i Brodów (na dworzec główny)		2^{5}	9^{10}	^{21}		
Z Podwołoczysk i Brodów na dworzec Podzamcze		2^{45}	9^{17}	6^{55}		
Z Suczawy	10^{09}		$7^{[illegible]}$	1^{42}	7^{06}	
Z Kimpolungu	10^{09}		$7^{[illegible]}$		.	
Z Radowiec	10^{09}		7^{5}		7^{06}	
Z Hliboki	10^{09}				7^{06}	
Z Nowosielicy	.		7^{6}		7^{06}	
Z Słobody rungurskiej	10^{09}			1^{48}	7^{06}	
Z Husiatyna via Halicz	10^{09}			1^{48}		
Z N. Sącza, Chyrowa, Stanisławowa i Stryja			9^{16}	2^{35}		
Z Suchy, N. Sącza, Chyrowa, Stanisławowa i Stryja			9^{16}			
Z Chyrowa, Stanisławowa i Stryja					1^{41}	
Z Pesztu, Miskolcza, Munkacza, Ławocznego i Stryja			9^{16}		1^{41}	
Z Sokala i Bełzca						4^{48}
Z Sokala i Rawy ruskiej						8^{32}
Odchodzą ze Lwowa:						
Do Krakowa	10^{41}	9^{07}	5^{26}	11^{01}	7^{56}	
Do Podwołoczysk i Brodów (z dworca głównego)	2^{58}		9^{43}	10^{26}		
Do Podwołoczysk i Brodów (z Podzamcza)	3^{10}		10^{13}	10^{52}		
Do Suczawy	6^{36}		9^{56}	3^{22}	10^{56}	
Do Husiatyna via Halicz	6^{36}			3^{22}		
Do Słobody rungurskiej	6^{36}		9^{56}	3^{22}	10^{56}	
Do Nowosielicy	6^{36}		9^{56}		10^{56}	
Do Hliboki	6^{36}		9^{56}			
Do Radowiec	6^{36}		9^{56}		10^{56}	
Do Kimpolunga	6^{36}			3^{22}		
Do Stryja, Chyrowa, N. Sącza i Suchy			6^{16}	10^{21}	7^{41}	
Do Stryja i Stanisławowa				10^{21}	7^{41}	
Do Stryja, Ławocznego, Munkacza, Miskolcza i Pesztu			6^{16}		7^{41}	
Do Bełzca i Sokala						9^{51}
Do Sokala i Rawy Ruskiej						7^{36}

Uwaga: Godziny podkreślone linijką oznaczają porę nocną od 6 wieczorem do godz. 5 m. rano. 59

21)

FATALNA POMYŁKA.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

przez

A. B. EDWARDA.

Tłómaczyła z angielskiego Zofia baronowa Harting.

(Ciąg dalszy).

— Matkę moją zapamiętałem lepiej niż osoby, które widziałem przed rokiem — odparł Hugon rozdrażniony i posmutniały zarazem. — Pamięć jej tak żywo tkwi w mojem sercu, że każde jej wspomnienie rozrania je nanowo. Lady Floro, wszak pani podróżowałaś po Włoszech; może więc zajmie panią przeglądanie tych szkiców. Barbarino, połóż album na stole.

Uczyniłam jak mi rozkazano, a obie panie po raz pierwszy dopiero zwróciły uwagę na moją obecność i zapytały kto jestem.

Hugon przytulił mnie czule do siebie i pocałowawszy w czoło, odparł:

— Na imię jej Barbara, Barbara Churchill. Jest to bardzo znakomita osóbka, pochodząca ni mniej ni więcej jak od księcia Marlborough i bardzo też jest dumna ze swej koligacyi.

Lady Flora uśmiechnęła się, rzekła obojętnie: czy tak? i zagłębiła się cała w oglądaniu rysunków. Hugon, nie zdając się troszczyć, czy ją to interesowało lub nie, ciągnął dalej:

— Tej oto małej dziewczęce pokazałem najpierw mego Pawła Weroneńczyka; co więcej, dla niej umyślnie kazałem rozpakować obraz. Jest ona wielką znawczynią, lady Floro, i posiada wiele talentów i wiadomości. Czytuje debaty parlamentarne, gra w wista i pikietę, a przytem jest moją najserdeczniejszą małą przyjaciółeczką, dozorczynią w chorobie i dozorczynią zabaw. Na honor, nie wiem cobym począł bez niej. Podczas choroby była ona moją prawą ręką.

Lady Flora oświadczyła przez ząbki, że to jest bardzo interesujące, a lady Bayham zaszczyciła mnie długiem, zimnem i krytycznem spojrzeniem, od którego krew nabiegła mi do głowy.

— Jeżeli pan w nienawiści jesteś równie zapalczywym, jak jesteś entuzyastycznym w przyjaźni, to nie chciałabym zaiste narazić się panu w czemkolwiek — zauważyła chłodno. — Czy pańska protegowana jest unikatem w swoim rodzaju?

On odwrócił się i ujął mnie za rękę.

— Jest jedna tylko Barbarina na świecie, a Hugon Farguhar jest jej rycerzem i najniższym sługą — rzekł wesoło. — Lady Floro, ten rysunek zdjęty był z winnicy pod Neapolem, gdzie fabrykują słynne wino Lacrima Christi, o którem podróżni mówią więcej, niż słyszeli, niż z doświadczenia, gdyż liczy się ono do rzadkości. Barbarino, pobiegnijże do mistress Fairhead i poproś, aby nam tu przysłała butelkę starego Lacrima Christi, zapieczętowaną żółtym lakiem. Ażeby należycie ocenić mój szkic, musisz pani pokosztować nektaru, który dał mi natchnienie do niego.

Uradowana, że mogę wymknąć się z pokoju, szybko zbiegłam na dół. Na ostatnim schodzie spotkałam się oko w oko z ciotką, która szła na górę.

— Bab — rzekła, przyjechałam cię zabrać do domu. Cóż tu słychać? Jakże on się czuje?

— Lady Bayham i lady Flora są tam u niego — odparłam.

— Lady Bayham i lady Flora! — szorstko przerwała ciotka. — A to trzeba czelności tych bab, żeby śmieć już zastawiać na niego sieci, kiedy ledwie jedną nogą wyszedł z grobu!... Kiedy tak, to nie pójdę na górę. Dumne to, spanoszone, a gołe jak święty turecki. Poszły się i nadymą jak paw, a nawet poczciwych przodków wykazać niemoże. Jeżeli poważy się z nią ożenić, to mu tego nigdy nie daruję!

— Ożenić się z nią! — powtórzyłam, czując, że dziwny ból chwyta mnie za serce.

— Chybaby zmysły do reszty postradał, żeby to zrobił! — ciągnęła dalej ciotka, czerwieniejąc ze złości. — Stare pannisko... ma lat ze trzydzieści, jeżeli nie więcej... i od trzynastu lat szczerzy zęby i robi słodkie oczy do każdego. Już ja przeczułam, co im strzeliło do głowy, kiedy zaczęły tu codzień przysyłać i przyjeżdżać i zostawiać na dole swoje pozłacane bilety z podrobioną hrabiowską koroną! Nie ma szeląga... ale to co się zowie, złamanego szeląga! Stary Bayham powyżej uszu siedzi w długach; każda piędź ziemi, każde drzewo jest zastawione w bankach. Aha! lady Floro! Podobałoby ci się być panią w Broomhill, choć właściciel nie posiada tytułu, ani korony!... A był czas, moja panno, żeś ani spojrzeć nie chciała na takiego, co nie miał choćby siedmiu pałek w herbie! Bab! zabierajmy się ztąd. Przebrało mi się cierpliwości z nim. Jedźmy do domu.

— Ależ, droga ciociu, nie odjedziesz przecie, nie zobaczywszy się z Hugonem! — zawołałam blizka płaczu.

— A to czemu nie? Jestem tam zbyteczna. Ma z sobą swoich wielkopańskich przyjaciół.

— Ależ ciociu, on woli widzieć ciebie, niż wszystkich wielkich panów całego świata!

— Nie jestem tego pewna — odparła ciotka, mięknąc.

W tejże chwili dzwonek zatętnił niecierpliwie. Przypomniawszy sobie zlecenie Hugona, rzuciłam się bez tchu do pokoju gospodyni, aby jej wydać stosowne rozkazy. Ale już było zapóźno. Na schodach usłyszałam szelest jedwabiów i spojrzawszy w górę, ujrzałam obie te panie schodzące na dół. Ciotka mruknęła coś pod nosem i odwróciwszy się, pomaszerowała w przeciwną stronę. Ja ustąpiłam na bok. Lady Bayham przeszła koło mnie dumna i wyniosła, nie zwróciwszy żadnej uwagi na nikłą moją osóbkę, ale lady Flora przystanęła na chwilkę i protekcyonalnie wyciągnęła do mnie końce palców.

— Bywaj zdrowa, mała — rzekła, siląc się na uprzejmość. — Jak ci to na imię: Tabita, Dorota, czy Pamela?

— Nazywam się Barbara — odparłam zimno.

— A prawda. Zapomniałam. Bywaj zdrowa, Barbaro. Jak pan Farguhar wyzdrowieje, powiem mu, żeby cię kiedy przywiózł do Ashley Parku.

Skinęła piękną głową i poszła dalej, popatrzywszy ze zdziwieniem na moją ciotkę, która z rękami w tył założonemi zdawała się zatopiona w oglądaniu jakiegoś obrazu na drugim końcu korytarza. Zaledwie lady Flora zniknęła z oczu, mistress Sandyshaft, cała zaczerwieniona na twarzy i zirytowana do żywego, szerokiemi krokami zwróciła się ku mnie.

— A to mi się podoba! — zawołała. — Powiem mu, żeby cię przywiózł... Ona mu już wydaje rozkazy. Ta sroka! Nie pojedziesz, Bab! Nie pozwolę na to! Patrzcie, jaka mi pewna siebie. Stara kokietka! Intrygantka! Żeby mnie posłuchał, toby ją na próg domu swego nie puścił. Powtarzam, że jeżeli się z nią ożeni, to mu tego nigdy nie daruję!

Nie posiadając się ze złości na tę samą myśl, ciotka trzy czy cztery razy, stukając głośno trzewikami, przeszła się żywo po korytarzu, aby odzyskać utraconą równowagę ducha. Potem udała się na górę, a ja zostałam na dole, rozmyślając żałośnie nad tem, co to będzie, jeżeli Hugon ożeni się z lady Florą.

ROZDZIAŁ XIII.

Hugon bardzo powoli przychodził do zdrowia. Śnieg leżał grubą warstwą na ziemi ściętej mrozem, kiedy skutkiem fatalnego wypadku położył się do łóżka, a wiosna była już w pełnym rozkwicie, kiedy po raz pierwszy mógł dosiąść konia. Pierwszy jego wyjazd był do Stoneycraft Hall, drugi do Ashley Parku. Należało się spodziewać, że teraz, kiedy odzyskał zdrowie, dawne nasze stosunki sąsiedzkie zawiążą się nanowo i staną się coraz częstszemi i ściślejszemi. Wypadało mu wywdzięczyć się ciotce mojej za okazaną mu troskliwość w chorobie i przyjeżdżać po dawnemu, o zmroku, na długą poufną gawędkę, na filiżankę herbaty i partyjkę pikiety, do której mistress Sandyshaft już nawykła i tęskniła pomimowoli, chociaż za nic w świecie nie byłaby się przyznała do tego. A jednak stało się przeciwnie, gdyż odwiedziny jego od czasu choroby stały się coraz rzadsze. Pozawierał on dużo znajomości w okolicy i przestaliśmy być jego jedynymi przyjaciółmi. Mnóstwo gości zjeżdżało teraz do Broomhill i zarzucono go zaproszeniami, a choć nie dbał o towarzystwo, ale zbyt lubił polowanie i sport wszelkiego rodzaju, aby odmówić wzięcia udziału w myśliwskich zebraniach. Nie na tem jednak koniec. Jakaś nieznaczna zmiana zakradła się w nasz stosunek. Dawna swoboda i poufała zażyłość znikła, choć nie wiadomo właściwie, czemu to było przypisać. Sądzę, że wina cała leżała po stronie ciotki, która ułożywszy sobie, żeby go zachęcić do lady Flory, nie przestawała go drażnić ciągłemi przycinkami co do przyjacielskiego niedostatku i krytykowała całej rodziny Bayhamów. Taktyka jej w tym razie chybiła zupełnie celu. Lubił on dosyć tę familię; bywał częstym i zawsze mile widzianym gościem w Ashley Parku i nie dbał wcale o to, czy lord Bayham siedział po uszy w długach, czy nie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: **Wacław Masłowski.** Papier braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządca: Walenty Hodak.